

WYBÓR POWIEŚCI  
J. I. KRASZEWSKIEGO.

(CZĘŚĆ I I II)

SZERA II.

Tom czterdziesty szósty



ADA.

---

SCENY I CHARAKTERY

Z ŻYCIA POWSZEDNIEGO.

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

---

TOM I.

---

WARSZAWA.

NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA

---

1885



Wydawnictwo Literackie  
Warszawa, ul. Nowy Świat 76



1917. 1. 12

Wydawnictwo Literackie, Warszawa, ul. Nowy Świat 76

Po szerokim, piaszczystym, młodem brzo-  
zami z obu stron wysadzonym gościńcu, który wśród zaro-  
śli półkami przerzynanych się rozkłada — małym tru-  
cikiem ciągnął się zwolna koczobryk bardzo porządnym,  
czterema dobrymi i tłustymi szkapami zaprzężony.

Był to piękny dzień wiosenny, powóz więc był  
spuszczony, a w nim widać było prosto siedzącego,  
zamysłonego wielce mężczyznę, który z cybuszka  
z bursztynem i fajki tureckiej, starannie przykrytej,  
dymek wysyłał. Poznać w nim było łatwo, po tem  
czemś co po sobie zawsze służba wojskowa na czło-  
wieku zostawia, że był dawniej żołnierzem. Razem  
też widać w nim było, że na tych czasach, w których  
żył młodością, jeszcze i życiem pełnem — zegar jego  
się zatrzymał. Strój i fizyognomia były nie dzisiejsze.  
Czapeczka z daszkiem która mu głowę okrywała, miała  
krój militarny, choć bez żadnej oznaki; taratanka  
z niskim kohnierzem stojącym, którą z pod płaszcza  
z peleryną widać było, zapięta na wszystkie pętle  
i gzniki, jak mundur wyglądała. Z boku przy niej  
na aksamicie bajorkami srebrnymi szyty, nieco zużyty  
już, wisiał kapciuch z tytuniem i srebrna przy nim  
przetyczka. Ale nadewszystko dawniejsze czasy znać  
było na czerstwej jeszcze twarzy, już nieco zmar-  
szczkami poprzerzynanej, którą zdobiły bakenbardy  
w pół księżycy zaokrąglone i wąsik czarno i sztywnie

wypomadowany. Prawie niedostrzeżony mały kołczyk złoty miał w jednym uchu.

Wyraz twarzy był poważny. surowy niemal, a mimo to dobroć dający odgadnąć i serce. Surowość była tu raczej maską przybraną, która miała bronić od ludzi, aby nazbyt nie korzystali z tego serca co się za nią ukryć starało. Po żołniersku siedząc o swej sile, nie przygarbiony — jadący patrzył nie widząc na krzaki, i dumał.... Był tak zamysłony głęboko, że zapomniał, wedle zwyczaju, napominać woźnicę, aby to tego, to drugiego konia ściągnął i do spełniania sumieniejszego obowiązków napędził. Szymek też woźnica, korzystając snadź z pańskiej zadumy, również się pogrążył w rozmyślaniach. leżce puścił wolno, batok oparł na rękę i nie bardzo drogę wybierał. Koła parę razy zupełnie niepotrzebnie trafiły na kamienie, koczobryk podskoczył nieco, ale ani pan, ani Szymek, nie zdawali się uważać na to.... Wyrostek Iwas, siedzący na koźle obok woźnicy, jeszcze mniej sobie sprawy zdawał z podróży, i okolica go, ani widok, snadź wcale nie obchodziły, spał bowiem w najlepsze...

Chwilami tylko, gdy mu głowa niewygodnie na bok opadła, lub o ramię Szymka podtrąciła, budził się, wyprostowywał, chrząkał i wnet potem usypiał na nowo...

Po bokach szerokiego gościncea z jednej strony trochę starszy, ale wyniszczony i miejscami powypalany las widać było, z drugiej krzaki, a że okolicą jak na dłoni płaską przejeżdżali, z za tych zarośli dalej nie postrzedz nie było można. Gdzieś niedzie tylko wśród nich sterczało większe, stare drzewo, pomnik na cmentarzu dawnego boru wyciętego w pień, który od korzeni odpuścił... Wyrostki te nowe, pokolenie młode, znać było, że na wieki krzakami przy ziemi zostaną i w drzewa się nigdy nie podniosą, — tak jak wiele plemion, po których przeszedł topór i płomień dziejowy...

Szymek dał zamysliwszy się koniom przejść z truchta na stępię i wlekli się tak po piasku... Konie widocznie już wytrawne i rozumne, nie zwolniły nagle biegu, przejście to do stępi było wyrachowane, stopniowane, nieznaczące... Czuli one, że popełniały przestępstwo, ale ważyły się na nie czując instynktowo, że pan i woźnica albo spać, lub o czem innem. nie o nich myśleć musieli...

Na gościńcu pusto było... słońce zwolna podnosiło się w górę i zaczynało dopiekać... Na chwilę ocucił się podróżny, obejrzał, poszukał oczyma wiorsty na gościńcu i zadumał znowu...

Poczekawszy odezwał się głosem jakby komenderował jeszcze:

— Na dziesiątej wiorście, w lewo, gdzie dwór będzie widać z dachem czerwonym.. Słyszysz!

Szymek dał znak życia, Iwaś drgnął, i na głos ten konie znowu ruszyły truchtem, jakby się go ułękły, ale wkrótce w ten sam co wprzódę sposób, nader umiejętnie zaczęły zwalniać kroku i przechodzić do wygodniejszej stępi...

Jechali tak do dziesiątej wiorsty. Szymek, choć zamysłony, nie przesłepił drogi w lewo i zawrócił...

Trudno bo ją było pominąć, a nie znający okolicy mógł wziąć za gościniec drugi, tak wspaniale się prezentowała. Las starszy skończył się był o pół wiorsty wprzódę, zaczęły uprawne pola, a środkiem ich wyprostowana szła owa droga. sadzona drzewy. starannie poprzywiązywanemi. z mostami budowanemi trwale i porządnie. a nawet z pewnem na elegancję baczeniem. Z dala, w końcu wysadzonej tej alei, w której połowie młode drzewa spotykały się ze starą lipową cieniłą ulicą—widać było obszerne zabudowania dworu, który na pański zakrawał. Panował nad niemi wysoki dach czerwony. niby pałacyku, około którego gruppowały się w pozornym nieładzie budynki dosyć pokaźne. poprzegradzane drzewy starymi

i zielonością. Wśród niej oko rozpoznawało i świerki i liściaste kłęby kasztanów, topoli, i gdzieś niedgdzie pnie brzoź wysmukłych białe. Wies musiała się z tyłu ukrywać, bo jej ztąd widać nie było—z rozległości zabudowań wnosić się dawało, że mogła być wielką. Oprócz samego dworu, pomniejsze oficynki, dworki, chatki białe, wychylały się z bujnej otaczającej ją zieloności, jak z koszyka ..

Podróżny tak znowu zadumał się, że i na zagalską fajkę, z której pykał dymu wspomnienia, nie zważał, i na dwór też oczu nie zwrócił. Szymek za to orzeźwiał przypatrując się miejscu, do którego dążyli, a którego nie znał pono jeszcze. Czynić musiał wnioski, jak tu konie w stajni, a on na folwarku będzie przyjętym — boć różnie się to trafia i koniom i furmanom... Iwaś w błogiej drzemce był zawsze pogrążony, i dopiero dojechawszy do alei lipowej, Szymek pochylił się i żwawo go napomniął, że dwór już blisko i czas przetrzeć oczy.

Jakoż Iwaś uznał słuszność przestrogi, otrząsł się, czapkę zdjął nieco, poprawił włosów, surdut ociągnął, kołnierz wyprostował, i już wcale ochoty do snu nie okazywał... Podróżny tylko choć się już do celu zbliżać zdawał, nie wyszedł z głębokiego swego zamyślenia...

Wtem alea lipowa się skończyła, i niedaleko ukazało ogromne podwórze, otoczone ogrodzeniem w słupach murowanych... z bramą w posrodku, która prowadziła do dworu. Szymek nie mający żadnej specjalnej instrukcyi i wnioskując własnym rozumem, iż pan major, którego wiozł, nigdzie indziej prócz dworu zmierzać nie może, wprost się skierował na bramę. Stała przy niej ładna, dzikiem winem okryta chatka odźwiernego, i wychodzący z niej starszerek już się zabierał wrota otwierać, gdy nagle, jakby przebudzony major, chwycił gwałtownie za ramię Szymka, i krzyknął przerażony, a gniewny:

— Trutniu jakiś! nawracaj! na folwark!



A że konie się nie łatwo dały wstrzymać i z pod samych wrót odwrócić, major nderzył woźnicę po ramieniu, w największym gniewie, powtarzając:

— Nawracaj skurczypalko! do kroćset batalionów...

Szymkowi tego było za wiele, czuł się pokrzywdzonym na honorze, zatrzymał konie i zamiast je zwrócić, sam się obrócił ku panu.

— Przecie mi pan major nie mówił, dokąd mamy zajechać — zkadże ja to miał wiedzieć? Inżci my po folwarkach nie zwykli?... zawołał Szymek.

— Nawracaj! prędzej! będziesz ty mi rezonował! powstając w koczobryku wołał rozogniony coraz bardziej major—nawracaj!

Gniew ten wywołać musiało i to, że odźwierny stał patrząc u wrot, i że w ganku pałacyku ukazało się kilka osób ciekawie się przypatrujących bryczce stojącej przed bramą.

Pomimo połajania, Szymek czując się niewinnym i w swem prawie, nawracając nst nie zamknął.

— Ja niewinien przecie — czemuż jaśnie pan za wczasu mnie nie mówił, że nie do dworu jedziemy... Ja nie wiem gdzie tn folwark...

Podróżny zaciął nsta.

— W prawo— zawołał, ukazując drogę—w prawo— i milczeć. Winien, nie winien... komendy słuchać i usta stulić! Słyszysz!

Szymek milcząc zawrócił się w prawo. W ganku tymczasem ten cały zatarg i krętanina musiały zwrócić uwagę służby, bo się jej coraz tam więcej zbierało. Odźwierny zobaczywszy, że bryczka wzięła się na prawo, powrócił do swej chatki.

Major jechał rozbudzony, ale podrażniony, fajkę rzucił w nogi, kapcie schował prędko do kieszeni płaszcza, otrząsł się z pyłu... i milczący patrzył wyglądając folwarku.

Droga pomiędzy klombami wiodąca ku niemu, cieniasta, jak w parku starannie utrzymywana, po bokach miała małe dworki z ogródkami... Czuć tu było i dobry byt, i ład wielki, i porządek surowo trzymany, co się u nas rzadko na wsi zdarza. Nigdzie połamanego płotu, odartego drzewa, zdeptanej murawy. Na podziw jakoś wyglądało wszystko po wojskowemu wymusztrowane.

Folwark, do którego jechali, już widać było, na tle także starych drzew, niby porządny dworek szlachecki, z dziedzińczykiem tak samo jak pałac ogrodzonym. Tu tylko ani chatki, ani odźwiernego nie znaleźli, i już Iwas się zbierał z kozła skoczyć, aby zamknięte otwierać wrota, gdy z dworu, w szarej kurtce wybiegł chłopak i nprzedził go. Z nim razem dwa psy gończe przesliczne, lśniące, wesołe, a przy nich wyżeł, szczekając spieszyły do bramy...

W chwilę potem major stał w ganku i miał zapytać o pana... gdy drzwi lewe w sieni otwały się, i z nich szybkim krokiem wybiegł niemłody mężczyzna, z otwartymi rękami, rozjaśnioną twarzą, na powitanie.

— Major!!

— Pułkowniku kochany—tak—to ja!

Padli sobie w objęcia, tak serdecznie, tak niemal namiętnie się całując, że długo żaden nie odezwał się słowa. Uścisk ten milczący powtórzył się razy kilka, a gdy dwaj towarzysze broni podnieśli głowy, w oczach ich nie żołnierskie łzy widać było...

Pułkownik ów, który wyszedł na spotkanie majora, był jakby z jednej z nim rodziny pochodził, do niego podobny. Nie rysami i nie twarzą, raczej postawą i rycerskimi ruchami starego wojaka. Trzymał się też bardzo prosto, mimo siwintękich włosów, miał siwe pół księżycowe bakembardy, wąsik czarno namalowany, chustkę na wysokiej duszce — białą, i — może nawet koleczyk w uchu.

Dwie te twarze różne w sobie, widomie czas jakiś w jednej formie ugniatane służbą, nabrały pewnego familijnego podobieństwa... Ale pułkownik nieco był starszy, twarz jego więcej była wypogodzona i uspokojona, oczy jego niebieskie śmiały się, gdy mąjora czarne trochę niecierpliwie na świat patrzyały.

Po uścisku i ucałowaniu, wzięli się za ręce, a pułkownik rzuciwszy słowo: — Konie do stajni, rzeczy do gościnnego pokoju, wprowadził gościa do domu.

W ślicznym pokoju bawialnym, do którego weszli, wnet było można poznać starego kawalera, lubiącego porządek i czystość człowieka... Począwszy od wyfroterowanej jak szkło posadzki, do firanek jak śnieg białych, wszystko było świeże, nigdzie pyłku, i każdy sprzęt, każda drobnostka miała tu swe wyznaczone miejsce, jak żołnierz w szeregu. Na ścianach piękne, wielkie litografie z Verneta, wystawiały sceny wojskowe i śmierć księcia Józefa, kilka portretów sztychowanych generałów i wojskowych towarzyszyło im. Przez drzwi na pół otwarte widać było obok gabinet z biurem, równie starannie uporządkowany...

— Ani ty mi mów, majorze kochany, żeś do mnie przyjechał... zawołał śmiejąc się gospodarz. Wiem czemu to winien... wiem! Dawnom się spodziewał skorzystać z tego, że syn wziął dzierżawę w naszym sąsiedztwie... Byłeś u syna.

— Nie byłem u syna — odparł nieco zmieszany major — daję ci słowo i żołnierskiem słowem mogę ci zaręczyć, że na ten raz więcej dla zobaczenia się z wami niż z synem przyjechałem... Chciałem cię uściskać, widzieć i nagađać się. Słowo daję!

Pułkownik Brandys uściskał przybyłego milczący.

— Bóg zapłać! ale mi tego nie wybijesz z głowy, żebyś dla mnie odbył podróż.

— Słowo...

— No. to wierzę... i tem jestem wdzięczniejszy. Siadaj, stary kolego. ochoczo zawołał gospodarz: siadaj. rozgość się, jesteś jak w domu u mnie. Widzisz... sam jestem... i czem chata bogata, tem rada...

Przybyły pan major. Piotr Jazyga. poprawił włosów pół siwych na łysinie, bo miał zwyczaj ją zakrywać po staremu temi, co mu z tyłu głowy pozostawały. potarł czoło nieco zafrasowane, i z wolna siadł w fotelu.

Gospodarz wołał już o śniadanie i krzątał się około przyjęcia.

— Daj pokój tym kłopotom o mnie — odezwał się Jazyga—my się nagadamy, a na noc pojedę do syna..

— Żeby mnie przekonać. żeś przyjechał do mnie i dla mnie. *Sacré matin!* rozśmiał się pułkownik. ponownie sciskając przyjaciela. Syn się wami nacieszyć będzie miał dosyć czasu — a ja — dalipan, dziś przynajmniej nie puszcze. Ileż to lat, ile lateśmy się nie widzieli!

— Ile lat. westchnął major — nie liczymy lepiej... *labuntur anni!*... Co robić, byle serca nienaruszone niemi zostały...

-- A! mój Piotrze—przerwał Brandys — ileżem to ja razy. ile razy was wspominał. wdychał do tej chwili. gdy uściskę. Szczególniej gdy szczęśliwy traf do nas tu syna twego sprowadził... na widok jego o matom się nie rozplakał. tak mi was przypominał... Dopytywałem go ciągle, czy też do nas nie zawitać? Filut chłopak. bo mi zawsze powtarzał, że lubicie swój kąt. że się wam z niego ciężko oddalić.. I że się nie bardzo odwiedzin spodziewa...

— I nie kłamał. słowo daję—począł major.—Ja tam nie bardzom się spodziewałem być u was. W istocie wrośłem w swoją skorupę, po co się włóczyć po świecie?.. człowiek dożywa resztek, nie spodziewa się niczego. mało ku czemu tęskni.. Ot, jednak — nscisnąć was, a pożegnać się z wami zapragnąłem.

— Na cóż u licha żegnać?

— Bom stary. czuję się starym—rzekł major wzdychając. Nie mierzcie sobą losów moich... Wyście swobodni. szczęśliwi. nie związani niczem — ja byłem szczęśliwy póki żyła moja droga Anusia... syna się dochowałem.. niebardzo mu już potrzebny jestem...

— Ze złego tonu śpiewasz! pfe! przerwał pułkownik; ja tego słuchać nie chcę. Póki człowiek żyje, ma obowiązki być żwawym, żywym i ochotnym do końca...

Wniesiono śniadanie. które chłopak. stół ode drzwi wzięwszy, starannie wśród pokoju zastawił. Brandys chwycił za flaszkę...

-- Napijemy się wódki — aby tę tęsknicę przepędzić? rzekł podnosząc w jednej ręce karafkę, w drugiej kieliszek.—Starka czy kimel? no?

Major się zawahał...

— Starka! mamy przedziwną! jak oliwa! -- dodał pułkownik... Ja nią tylko takich gości jak ty przyjmuję, bo ją mam z łaski mej dobrodziejki. i nadużywać nie chcę. Zobaczysz! istny eliksyr długiego życia. W ręce twoje...

Wstał Jazyga. napili się po kieliszku, a że po drodze głód dokuczał, wzięto się do wędlin, masła i przekąsek ochoczo...

Brandys też miał apetyt wysmienity. odpowiadał wesołości, która się malowała na jego twarzy... Major był milczący. odpowiadał półsłowami. i choć widzenie dawnego kolegi widocznie budziło w nim radość. przesunęły się po niej jakby chmury jakiejs wewnętrznej troski, którą pragnął ukryć w sobie. Zamyślenie to. jakie go w drodze trapiło. wracało przy śniadaniu. co nie uszło oka wesołego pułkownika.

— Zmęczony być musisz drogą. odezwał się wreszcie, bo nie przypuszczam, żebyś miał troskę jaką. a coś mi wyglądasz chmurno...

Jazyga razem westchnął i uśmiechnął się, ruszając ramionami.

— Jakżebym troski nie miał, mając syna —mój drogi pułkowniku! Najlepszy, najpocząciwszy w świecie chłopiec, ale to młode. Znamy co młodość, i jak to trudno to morze nawalne bez szwanku przepłynąć. Więc choć mi mój począciwy, kochany Robert najmniejszego powodu nie daje do niepokoju o niego — ale, serce ojcowskie...

— Zlitujże się —począł Brandys—serce ojcowskie! Co ty mówisz! chyba wątroba. jeśli na nią chornjesz; to złoty chłopiec! to wzór dla młodzieży... Jakaż troskę możesz mieć o niego? My tu go często widzimy, sąsiadujemy z nim, wiemy najlepiej jak siedzi i co robi... A! to kochać się w tym twoim Robercie! Słowo daję—winszować ci...

Nie wiedzieć dla czego, gdy pułkownik mówił, że go tu często widują. po twarzy majora przesunęła się chmura. mimowolnie usta zaciął, ale jakby się wydać lękał z tem, co go tknęło, wnet przymuszonym śmiechem i wesołą twarzą zaczął dziękować...

— Bóg zapłać za dobre słowo — rzekł — wiecie, że ojca nic tak nie uszczęśliwia jak pochwała dziecięcia. Tak jest.. mam wszelkie powody cieszyć się moim począciwym chłopcem—ale...

Tu się zaciął major, zaczął sobie chleb smarować i posypywać serem niepotrzebnie... zwiesił głowę. mmilkł.

— No—co za ale?—spytał Brandys.

Jak gdyby o wyrzeczonym—ale—już zapomniał major. oczy podniósłszy zdumione tylko, nic nie odpowiedział.

— Nie ma żadnego ale—dokończył Brandys,—żadnego ale, żadnej. najmniejszej płochości, zachcianek... mówię ci—wzór dla młodzieży...

Zamilkli. Śniadanie się skończyło. i obaj usiedli w krzesłach. zamiast fajek zapaliwszy cygara. Rozmowa o synu Jazygi zdawała się wyczerpaną; przy cygarach zaczęli obaj przypominać dawne czasy... służbę w wojsku Napoleona, potem w wojsku polskiem

pod wielkim księciem... Było to źródło nieskończonych reminiscencyj, zapytań, odpowiedzi, wykrzykników, podziwień: Umarł—ożenił się—zginął... Z kolei wywoływali tak duchy i cienie towarzyszków broni. których najrozmaitsze spotkały losy... Jedni się bez wieści rozpierzchli po świecie. drudzy poodmieniali do niepoznania... dla jednych los był opiekunem i powynosił ich wysoko, drugim stracił tak nisko. że li-tość obudzali... Wielu z tych co najpiękniejsze nadzieje czynili o sobie. zawiodło je okrutnie; inni, po których nic sobie nie obiecywano. wyszli tam, gdzie nie marzyli. Któż w Zajączku. przyjaciela gorącego. demokratycznego Kollataja. mógł przewidywać księcia namiestnika?... Tak było i z wielu innymi...

— Mój drogi — odezwał się Brandys — a mógłłem ja. doszedłszy do stopnia jaki w wojsku miałem. przewidywać kiedy. że skończę tu w Ruszkowie. jako rządca mojej drogiej panny Pretwiczówny?...

Prawda. że mnie z nią dalekie jakieś łączyło pokrewieństwo. ale gdy przypadkiem się z nią spotkał i poznał w Warszawie. ani mi było w głowie. że mnie na generalnego swojego plenipotentą i rządcę wykiekuje. Przyznam ci się. że nawet wcale do tych funkcji nie czułem w sobie usposobienia. Tymczasem ta. wówczas młoda dziewczynka. bystrzejsze miała oko odemnie: poznała w starym wojskowym przyszłego hreczkosieja... Cha! cha! ale ba! Jest też to niepospolita kobieta! Takiej drugiej może na świecie nie ma...

Słuchając tych pochwał. major czegoś się coraz bardziej zadumywał. cygaro począł gryźć. w okno zapatrzył. i znowu chmury mu się po czole błakać zaczęły.

Tymczasem Brandys. gdy raz wpadł na ten przedmiot. dla obcych wcale nie zajmujący. trudno mu się już było oderwać od niego. i nie bardzo zważając na pewny rodzaj roztargnienia. które major okazywał. mówił dalej:



— Ty jej nie znasz. tej mojej dobrodziejki?

Major głową potrząsł.

— Przecież ci syn musiał mówić, bo tu u nas bywa — ciągnął dalej pułkownik, — i co najlepiej dowodzi ile ten chłopiec wart, nasza panna — a o to u niej nie łatwo — bardzo go lubi! Powiadam ci. bardzo ceni..

Major zawsze roztargniony. tylko głową ruszył i nic nie odpowiedział. Brandys, ożywiając się ciągle, dalej opowiadał wesoło:

— Syn ci nie mógł jednak wielu rzeczy ciekawych opowiedzieć, których się dowiesz odemnie. Rozumie się sub rosa. — między nami. Znasz jej historię? To bo coś osobliwego i ta kobieta, i jej życie ..

Major z zaciekawieniem, ale razem zakłopotany zwrócił oczy na opowiadającego, cygaro mu zagasło. Wzięto się do zapalenia go na nowo, to nieco rozmowę przerwało, lecz pułkownik był przejęty swoim ulubionym przedmiotem — i nie dał zbić się z toru..

— O tak — dodał — tak — jest to ze wszech względów historya ciekawa... można powiedzieć — zagadkowa. Wystaw sobie pannę piękną, bo słowo ci daję. choć nieco zimną się wydaje i surową a nieprzystępną. ale piękną jest i ujmującą gdy chce... wystaw sobie rodu znakomitego... Wiesz czem byli Pretwicze niegdys!

Tu przerwał sobie Brandys. aby podnieść sławę zapomnianego imienia.

— Pretwicze! dziś to tam mało kto o tem i wie, ale lat temu trzysta liczyli się do najznakomitszych w Rzeczypospolitej. Było przecie przysłowie: — Za pana Pretwicza. spała od Tatar granica... Ha! Toć to niewiele jest w kraju rodzin. coby jak Zawisze i Pretwicze dostapili tej sławy, by w ludowych nstach się nieśmiertelnili! Ha!

— Wystawże sobie — mówił dalej — pannę młodą jeszcze, piękną. z takim imieniem, a dziś i bardzo bo-



gata, która ani chce słyszeć, żeby kiedy za mąż iść miała. He?

Major milczał.

— Nie myśli za mąż iść? wyjąknął po długim przestanku — a — a to bardzo rozzumna — słowo daję..

— Albo — albo — odparł Brandys... — nie jest to bez przyczyny...

Tu zniżył głos i z krzesłem się przysunął do kolegi. szepcząc coraz ciszej.

— Nie każdy to wiedzieć może i powinien... Matka mojej dobrodziejki była w małżeństwie najnieszczęśliwszą w świecie kobietą. Między nami mówiąc, nieboszczyk Pretwicz, za którego bogata Boguszancka za mąż z miłości poszła. a kochała go do szaleństwa — choć to był ojciec mojej dobrodziejki, nie mogę inaczej wyrazić się o nim — był to łotr z pod ciemnej gwiazdy. Szuler, pijak, rozpustnik... Najmilszy z ludzi przytem, słodki. dowcipny. miły. choć go do rany przyłożyć na pozór. ale mu ani zaufać, ani na serce jego rachować. ani srom w nim ubudzić nie było podobna. Dosyć powiedzieć. że ta kobieta żyjąc z nim, czyścić. jeśli nie piekło miała na ziemi... Zagryzł ją. zamęczył. zdradzał. nadużywał. a ona kochała go do końca... Szczeniściem go chorobsko jakieś obrzydłe wzięło. gdy już z żony ledwie cień pozostał. a z majątku ruiny... gdy ta kochająca kobieta... musiała się już brzydzić człowiekiem bez czci i wiary... Po zmarłym jeszcze trzeba było długie lata oczyszczać każde miejsce, którego tylko dotknął stopą... Dziecko od najpierwszych lat lzy matki liczyło. męczarni tych było świadkiem mimowolnym. Niepodobna było nic ukryć przed żywego umysłu wyrostkiem... domysławiającym się łatwo... a nieboszczka ukrywać się ze swą niedolą i siły nie miała. Ten widok i doznane w kolebce niemałe wrażenia, sceny okropne... wraziły się głęboko w umysł mojej panny. — poprzysięgła sobie. że nigdy za mąż nie pójdzie...

Major słuchał chciwie. twarz mu się rozjaśniała widocznie...

— A! żebym ci ja chciał i mógł opisać, co się to z tej kobiety wyrobiło — mówił Brandys — skutkiem tego postanowienia!! Inna — mój Boże — zagryzłaby się. skwaśniała. a zresztą i słowaby nie mogła i nie umiała dotrzymać. — A ta!!

Uśmiechnął się major...

— Przecież nie jest jeszcze tak stara — wtrącił — choć mi syn mówił, że się sama ciągle starą panną nazywać lubi. Któż wie, czy jej później i za późno nie przyjdzie fantazyja...

— O! nie! żywo przerwał Brandys, że nie to nie. Ja ją znam. To charakter żelazny... Ba! ba! Gdy z tej ruiny, w jakiej nieboszczyk nas zostawił, z latami, przy oszczędności i ładzie fortuna się podniosła, oczyszczała i znowu stała wcale pańską... mieliśmy bez liku konkurentów. Dalipan i takich, którychby inna nie odrzuciła; że o innych nie wspomnę, dwu wołyńskich gołutenkich książąt czy kniaziów, ale tak wyedukowanych... bo to tam ich zawczasu na myśliwców posagowych nspasabiają — powiadam ci... *sacré matini!* — jak królewicze! Ani patrzeć na nich nie chciała... Co ona ich tu wymiotła i jakich!! Teraz też wiedzą, że próżnoby tu się kusili. żaden ani zajrzy...

Ustał nieco pułkownik, bo i jemu cygaro zagasło, zapalił je prędko, i nie dając zmienić przedmiotu rozmowy, kończył nparcie o swej pani.

— Kobieta wyjątkowa. powiadam ci...

— Wiele ma lat? przerwał major...

Brandys głową pokiwał... Zdawało mu się nieprzyzwoitem zdradzać najdrażliwszą z niewieścich tajemnic swej pani.

— Co tam lata — rzekł porywczo — metryka głupstwo... Zobaczysz... wygląda młodo, a rozum — rozum nas wszystkich starych zakasnje... Prawda, w ogóle niewiasty, wiesz — włosy mają długie, mówi przysłowit — a rozum niewiele; a no, gdy się rozumna nie-

wiała nuda. żaden jej z nas nie dorówna; bo będzie miała rozum mężki, a uczucie kobiece, którego nikt z nas mieć nie może. Dwie te potęgi gdy się trafem zejdą z sobą... stanowią olbrzymią...

— I — powiadasz, że się schodzą? spytał nieco szydersko major.

— A, powiadam! powiadam! bo przykład mam przed oczyma! gorąco odparł pułkownik... Może się to trafiać bardzo rzadko — nie przeczę — ale się trafia...

Major dziwnie kręcił ustami.

— Nie będę się z tobą sprzeczał — rzekł zimno — ale mnie się zdaje, kochany pułkowniku, iż z uwielbienia dla swej pani wpadasz w teorię, niedającą się usprawiedliwić... Rozum gdy się z uczuciem spotyka. jedno z dwojga. albo je zje, albo się da spoić, i tak z nim jak z Samsonem... Za późno potem odrasta mu siła, i po to tylko, aby jej użył — na gruzy...

Westchnął major, ciągnąc mocno dym ze znowu przygasającego cygara. Machnął ręką. Pułkownik był niemal urażony...

— A ja ci powiadam — odparł, — że są wypadki, iż rozum się żeni z uczuciem i małżeństwo bywa zgodne!

— Wówczas kobieta bywa taka rozumna — szepnął z cicha z między zębów major, iż przestaje być niebezpieczną, i zapomina być kobietą...

Brandys aż się porwał z krzesła.

— Widzisz, kochany panie Piotrze—zawołał—wiesz, że nie znasz mojej pani, to ci tę herezję wyrzeczoną przebaczam. Gdybys ją poznał...

Major tak spuścił głowę i zatopił ją w ramionach, tak się zgarbił, iż mu nawet twarzy widzieć nie było. Zamilczał zupełnie...

— A! co to gadać o tem — wciąż mówił Brandys — są wyjątkowe istoty, a jedną z nich niezaprzeczenie jest moja dobrodziejka... (czego ona nie umie? czem się ona nie zajmowała??

— Widzisz. kochany pułkownik — bez urazy, bez urazy — rzekł cicho głowę podnosząc major. Wiedziałem o tem od mojego syna. który, jak wy, z wielkiem jest uwielbieniem dla tych fantazyj... A to są, nie więcej jak kobiece fantazyje... Chwyta z kolei dla rozrywki, dziś filozofię, jutro botanikę, pojutrze astronomię na ostatku muzykę, chemię, nie wiem już tam co... Wszystko to... zabawki... zabawki...

— Bez urazy... pułkownik, dodał major — ot prawimy sobie tak o kobietach w ogóle, ujmij jej to nie czyni. Ja lubię kobiety. które kobietami po prostu, jak Bóg przykazał, być umieją. Nie dziwujcie mi się, że opponuję...

Nachmurzył się Brandys.

— Czegożbym miał się obrażać? rzekł: naprzód wy jej nie znacie, powtórę wyjątkowe istoty wzbudzają zawsze niewiarę w swą egzystencję u tych, co sami się nie przekonali, że są cuda... Naostatek, po cobyim miał taić? z pewnego względni macie słuszość, choć w istocie, sięgnąwszy do głębi — nie! Zapewne, że kobieta, której przeznaczenie zostało zwichnięte, musi szukać dla umysłu zajęcia, pokarmu... Jeśli umysł jest żywy, pokarm się wyczerpuje, musi przechodzić do innego... Nie przeczę, że to są, jak ty mówisz, zabawki, ale uczciwe, potrzebne i — w końcu podnoszące i kształcące...

Z kolei major zamilkł — potrząsł tylko głową.

— Nie mamy się o co sprzeczać — dokończył Brandys — opowiadam ci na co patrzę z uwielbieniem... Charakter, umysł, wola... a przytem serce! serce!!

Major podniósł oczy, w których znówu zdało się pułkownikowi, że wyczytał niedowierzanie.

— A no, tak — serce! serce! powtórzył — ale serce rozumne!! Wydaje się zimną, często surową, ale musi być dobroczynną sposobem wyrozumowanym, tak że żaden jej uczynek dobry nie idzie marnie...

Rozsmiawszy się dodał Brandys.

— To prawda, że ona się do serca i uczucia nie przyzna nigdy — zawsze niby czyni wszystko z obowiązku — a no — znamy się na tem!!

Chociaż już major Jazyga wcale nie podsyczał rozmowy, która zdawała mu się być niezbyt miłą pułkownik nie przestał rozwodzić się z pochwałami swej dobrodziejki. Było w nich jawnie dużo przesady, nadto uniesienie i serce pocziwego Brandysa zbyt wielki może udział w nich miało. A że w początkach major objawił jakby sceptyczne usposobienie, Brandys tem mocniej nalegał, dowodził i nastawał...

— Najwięcej mnie to dziwi — odezwał się w końcu, że wy, kochany majorze, coście od syna pewnie wiele dobrego o niej słyszeć musieli, bo twój Robert jest jak my wszyscy, z wielkiem dla niej uwielbieniem — że wy—wy—jakoś mi się zdradzacie z pewną... jakby to nazwać... gorzej niż obojętnością dla mej dobrodziejki. . Przez samą wdzięczność powinniście ją na niewidziane wielbić — bo dziwnie jest łaskawa dla waszego syna...

Słyszając ten zarzut major się podniósł i gorąco zaprotestował.

— Ale—kochany pułkowniku—cóż ci się marzy?... Zkąd, dla czego, miałbym ja mieć jakies uprzedzenie przeciwko osobie tak powszechnie szanowanej, gdy zwłaszcza jeszcze i wy dla niej macie tak gorąco przywiązanie i dla Roberta jest... tak łaskawą?

Ostatnie wyrazy wymówione były takim tonem dziwnym, że Brandys aż spojrzał zdziwiony na kolegę i — zamilkł.

Milczeli jakiś czas oba... zdawało się, że zaczęły mówić o czem innem, gdy smiej się z przymusem major Jazyga wtrącił:

A już to powiem ci, pułkowniku, że choć nadzwyczaj jestem wdzięczen waszej pani że pocziwego Roberta, tak przyjmuje dobrze — ale — nie jestem ja temu bardzo rad.

Co? dla czego? krzyknął Brandys.

— Bo, bo widzisz — wołałbym, żeby więcej pilnował gospodarstwa, i w te górne strefy towarzyskie do których nie jest stworzony, nie zaglądał. Słuchaj — syn to mój jedyny — chciałbym go widzieć... szczęśliwym. Nic więcej. Rozumie się pocziwym na-przód—bo na tem tylko prawdziwe się szczęście opiera. Więcej dla niego nie chce nic. Nie dałem mu nymyslnie wyrokowej nanki, bo to męczeństwo jest... Chciałem, by był rozsądny, pojętny, praktyczny. Nauka pali człowieka i rodzi sceptycyzm... suchoty moralne, lub pragnienie nienasycone wiedzy... Po co mu to? Nie pragnę dla niego bogactw, bo te psują i niepokoją człowieka... Jest to ogień, który ogrzewa, ale i parzy, i pali. Nie starałem się dlań o stosunki nad naszą sferę, bo te częściej niewolnikami robią niż podnoszą, a niekiedy upadlają. Skromnie dla niego miałem i mały życzenia—chcę by w umiarkowanej atmosferze pozostał... ot, tak, pocziwym wiejskim szlachcicem, szczęśliwym mężem i ojcem rodziny... Nic więcej.

Pułkownik słuchał z natężoną uwagą.

— A cóż mu bywanie u nas i towarzystwo naszej dobrodziejki szkodzić może? zapytał.

— Ja nie mówię, by szkodziło—rzekł major—rozumiej mnie. Dom to pański, osoba niepospolita, mogąca na młodego chłopaka wpływ wywierać... A tu o nauce, o książkach, o kwestyach nierozwikłanych nienastannie. słyszę, mowa — od tego mu się w głowie może zakręcić... Po co to? po co?

Ruszył ramionami Brandys.

Major mówił dalej:

— Ty wiesz pułkownika, ja panów nie lubię — i pańskiego świata.

— Tak, wiem o tem — odezwał się Brandys. — Nie masz słuszności—są panowie różni, w czambuł wszystkich tak potępiać niepodobna, a towarzystwo ich jest najmiłszem w świecie...

Skrzywił się Jazyga.

— Tak! tak! dodał — bardzo miłe — ale się w niem człowiek rozpieszcza. uczy się próżnowania. mięknie... Potem mu nic nie smakuje..

— Widzę tylko — rzekł chmurąc się trochę Brandys, że z miłości dla syna wpadasz w dziwactwo. kochany majorze .. Jak cię kocham... Wolałbym na twem miejscu lepsze dla niego towarzystwo, niż zabawę na folwarku z dziewczętami. lub po jarmarkach z drobną szlachcią... przy ponczykku i kartach..

— O! o to jestem spokojny! rozśmiał się major. — Robert nie ma do anderaczków najmniejszego pociągu, ani do kart i butelki... a. towarzystwo gładkie... nadto mu się uśmiecha.

— E! dziwaczysz. słowo daję! zawołał pułkownik... Co u karta! my ci go nie popsujemy!!

Gadało się to tak. aby gadać — zakończył major: wyciągnąłś mi nie wiem jak na to...

Milcząc przeszedł si major po pokoju parę razy pośepny, stanął potem przed starym kolegą, który z podziwieniem postrzegł, że miał oczy zwilżone.

— Daruj ty mi pułkowniku — rzekł głosem. w którym czuć było poruszenie — daruj mi, że ja starym obyczajem serce moje całe odkrywam przed tobą aż do głębi, która się tobie wydaje dziwactwem. a jest dla jedyne go dziecka miłości pełna. Mam go jednego, nim i w nim żyję! Być może iż się troszczę zbytnio... ale wszystko mię przestrasza.. Chciałbym go widzieć szczęśliwym..

Pułkownik scisnął mu ręce z uczuciem.

— Kochany mój majorze — szczęśliwym chcesz go mieć — ale po swoim mu..

Jazzyg. nie zanyslił.

— Tak. może to być. rzekł: ale jakże ty chcesz, bym inaczej patrzył ino przez własne oczy i serce? Ja zżeczście dla niego pojąłem w warunkach, które mi się ze stanem jego i położeniem zdają najzgodniejsze.. Inaczej nie umiem. Znasz francuzkie przysłowie... La plus belle femme.



Rozśmiali się i tak rozmowa. ku koncowi rozrzuwieniem i łzami zwilżona. zamknęła się niby żartobliwym zwrotem. Pułkownika jednak nderżyło to, że major lękał się o syna. i że mu się z tego zwierzał. Choć to było niby przypadkowe wygadanie się — coś więcej pod niem można się było domyslać.

Zdaje się, że major także począł się obawiać czy za nadto się z myślą jakąś nie zdradził, bo zagadał zbyt porywczo o koniach i psach, i z nienaturalnem zajęciem wychwalać począł psy widziane w ganku. Mowa jego była pośpieszna, niemal gorączkowa. a ile razy pułkownik otworzył usta, jakby obawiając się powrotu rozmowy do pierwszego przedmiotu, natychmiast zagadywał o koniach. polowaniu i t. p.

Przeszło tak dosyć czasu, i ani się spostrzegli. gdy od koni przeszedłszy do dawnej służby. do anegdot z Saskiego placu i Belwederu. przepapłali godzin parę. Obiad u panny Pretwiczowny jadano około drugiej; pułkownik chodził do stołu do pałacu... Zdawało mu się najnaturalnijszem w świecie zaprowadzić z sobą majora. zaprezentować go pani domu, jak to zwykle ze swemi gośćmi czynił. którzy od niej byli mile widziani. W tem życiu wiejskiem każdy nowo przybywający, przynosił z sobą żywioł jakiś świeży do rozmowy, lub sam w sobie stawał się przedmiotem ciekawym i był pożądanym. Pułkownik nie wspomniął nawet koledze o tem... zdawało mu się to zupełnie w porządku... Spojrzenie na zegarek przypomniało Brandysowi tę obiadową godzinę.

— Wiesz co! przerwał nagle—a możebyśmy. uprzedzając godzinę obiadu. poszli teraz do pałacu?

— Do pałacu! rzucając się odparł major: do pałacu? my! a to po co?

— A no — na obiad!

— Jak to! to ty nie jadasz u siebie w domu?

Brandys zamilkł zafrasowany.

— Zmiłuj się — jakże chcesz! po cobym miał dla siebie jednego kazać gotować? U nas to jest zwycza-



jem, że ktokolwiek przyjeżdża. idzie ze mną do mojej dobrodziejki. Jam tu jak gospodarz. a ona... ona! jest samą uprzejmością... słowo ci daję.

Major stał jak osłupiały.

— Człowiecze! zawołał... ale ja za żadne skarby świata towarzyszyć ci nie będę! To nie może być! Głodny nie jestem. Posiedzę tu, popalę cygaro. dasz mi gazetę, będę czekał na ciebie... a że nie pójdę do palacu — to — jak mnie żywego widzisz...

Ale dla czegoż?

— Nie mogę! nie chcę! Zresztą nie mam się w co ubrać. Nie mam z sobą nic oprócz tej taratutki. Za nic w świecie, za nic w świecie!

Brandys stał okrutnie zakłopotany i pokręcał wąsa...

— Proszę cię! na taratatkę n nas nikt w świecie nie zważa. Ja za ciebie przeproszę i winę wezmę na siebie...

— Nie mogę! nie pójdę! daruj! to niepodobieństwo! powtarzał major...

— Jestem pewien. że moja pani wie już o waszem przybyciu — dodał pułkownik, nazwisko wasze jej powie, że jesteście ojcem pana Roberta, będzie wam to miała za złe... Zlitnij się... W dodatku pogniewa się na mnie...

— Nie mogę! nie mam fraka! nie mogę! powtarzał coraz mocniej zaniepokojony major. który zdawał się już szukać czapki i chcieć uciekać.

Pułkownikowi nie pozostawało już nic nad to. by kazał obiad przynieść do folwarku. Lecz ile razy się to trafiało. panna Ada zawsze czyniła mu wymówki, wprawiało ją to w najgorszy humor... Brandys tem się więcej nie lękał tego. że szło o Jazygę ojca, którego syn. jak mówił. był w wielkich łaskach u dobrodziejki.

Major domyślając się może, iż pułkownikowi stał się kłopotliwym gościem. zbliżył się do niego. z uśmiechem.

— Kochany pułkowniku, rzekł: wiesz co najlepiej będzie? Ja teraz do syna pojedę... Puść mnie, jutro wieczorem się zapraszam na herbatę. Już cię samowar masz u siebie...

— Ale nie — nie! — zastępując drogę począł pułkownik — ja cię ubłagam — nie będziesz się upierał... Taratatka na wsi to jak frak w mieście... poznasz moją panią — idzie mi o to... Naówczas lepiej ją ocenisz... Majorze! zaklinam! na dawną przyjaźń i koleżeństwo! proszę! uczyniże to dla mnie!

Major całował, mruczał, wymawiał się, ale stał upornie przy swoim

— Słowo daję — nie mogę! nie mogę!

Jeszcze się tak certowali. Jazyga coraz bliżej drzwi popychał gospodarza, dążąc do nich, gdy te się otworzyły i niespodziane zjawisko nakażało się na progu.

Była to — kobieta...

Z pierwszego na nią spojrzenia przerażony major odgadł w niej panią domną... Z opisów syna tak ją sobie właśnie wystawiał.

Trudno było wiek jej oznaczyć. Nie była ani bardzo młodziuchna, ani wcale stara. — Średnich lat też dać się jej nie godziło. Miała w sobie te młode, przechowaną, skamieniałą, którą dają pewne temperamenta i charakter. Słusznego dosyć wzrostu, pełnych kształtów, zręczna i gibka, postawę miała panską, śmiałe ruchy, coś w twarzy nakazującego i nie dającego sobie rozkazywać... Widać w niej było okolicznościami zawczasu wyswobodzoną niewiastę, nawykłą używać swej woli, panować nad sobą i drugimi. Wyraz ogólny całej osoby obndzał poszanowanie, ale zarazem pewną trwogę, pomimo że jej nie zbywało na niewiesticim wdzięku. Twarz biała i rumiana, zdrowiem jaśniejąca, z ciemnymi, zuchwale niemal patrzącymi oczyma, z czołem podniesionem, składała się z rysów klassycznie pięknych, ale nie mających na pierwszy rzut oka tego, co się indywidualną fizyogno-

nią nazywa. Była to piękność owej muzy starożytnej, która się tysiąc razy powtarza i nie zdaje się mówić nic — ale u panny Ady to nie chłód klasyczny, przy bliższem wpatrzeniu się, gdy się ożywiła, zapomniawszy trochę, okazywał się przybrany. Oswobodzona z pęt, które sama wkładała na siebie, zmieniała zupełnie twarz, mówiły oczy, śmiały się usta — oblicze stawało się może mniej pięknem, ale ozłoconem promieniem myśli i ciepłem uczucia. W pospolitych momentach nie bywała taka panna Ada — lecz ci, co z nią żyli, znali tę metamorfozę i kochali ją więcej zmienioną niż powszednią.

W ogóle jako kobieta nie mogła starych kawałków nie zachwycać. Rączka, nóżka, przepyszne włosy, białe zęby perłowe, płaszcz śliczny, czyściły z niej istotę już pod plastycznym wzrodem wyjątkową. Dodawszy wyraz twarzy, wzrok przezywający, czoło myślarza, to co w ustach, o nim mniemają, że one mówią i umieć ją i umieć ją pokłonić. Była kobieta, w której oczach błyskała iskra i która nie była tak uładowana i najdelikatniej za nią zwracała się. Dla tego malując portretów, przybierała ich w sobie i nie potrafiła.

Wprawdzie panna Ada, która nie miała ani jednej piękności, nie miała wyrazu i podobno miała — można ją chyba było potraktować obok jako tego z mieczem czułości, co stało się u niej samotnym rajem; — ale była uroczyście piękna, i miała przez to, co było u niej, zarazem zobaczyła ją przed sobą.

Ubrana była po domowemu, bardzo skromnie, czarną suknią, pod szyję z białym kołnierzykiem, ale ten strój nadzwyczaj prosty, dawał jej tajemnicę, była zarazem jakby odziana w suknię, która tak straszyła go, że panna Ada nie lubiła tego stroju, ale ją lubiła ubierać, jak przystało kobiecie — że chciała być piękną, ufając w to, że piękność jej nie potrzebowała być podnoszoną sztucznie, tylko właściwie uwydatnioną.

Od trzewiczka począwszy do rękawiczki wszystko było harmonijnie dobrane, świeże, ładne. Nic krzyzącego nie psuło tej prostoty ubrania, bo torebka u boku, zegarek i łańcuszek były z oksydowanego srebra... Parasolik, który trzymała w ręku, miał takąż rączkę, przedziwnie wyrzeźbioną, prawdziwe arcydzieło sztuki.

Zawahała się chwilę u progu. Pułkownik usłyszawszy szelest jej sukni i domyśliwszy się snadź, rzucił majora i pobiegł ku pani.

Twarz jego malowała to poszanowanie, admira-cy, ubóstwienie niemal, jakim pałał dla kuzynki dobrodziejki. Skoczył na jej spotkanie, a major, którego pierwszą było myślą schronić się do sąsiedniego gabinetu, zmieszał się, zawahał i ani postrzegł, jak go zaprezentowano, jak się ukłonił i — został pochwycy-

— Ja właśnie dla pana majora zachodzę tu, wracając z przechadzki gospodarskiej, odezwała się miłym, ale dosyć silnym głosem pani domu. Dowiedziałem się o przybyciu pana do pułkownika, i choć wiedziałem, że on mnie wyreczy i zaprosi go do mnie, wolałam to uczynić sama. Godzina obiadowa się zbliża, zabieram panów z sobą...

Spojrzała na majora, który stał jak na mękach, pot mu na czoło występował, usta się krzywiły.

— Pani dobrodziejko — odezwał się płacząc, niewymownie. — za ten zaszczyt i łaskę jestem wdzięczny — ale... pani przebaczy... Jestem w drodze, po podróży, i nie śmiałybym się tak zaprezentować... Będzie miało to szczęście później...

— Ale cóż znowu? kto tam na to uważa?... Proszę pana! Gniewałabym się gdybyś mnie pan wziął za jakąś trywialną formalistkę... wymagającą stroju, rękawiczek!! Pułkownik! zaświadczy za mną! Jestem stara pania... wieśniaczka... u mnie ceremonij żadnych nie ma.. Wynówek nie przyjmuję... Podaj mi pan rękę panie majorze, służę panu...

Jazyga zagadnięty tak nakazująco przez kobietę, choćby był wolał stokroć iść na odwach choćby najsurowszy. rękę podał i milczący, zmieszany poszedł jak na stracenie. Panna Ada zdawała się w wybor-nym humorze, swobodną i zręcznie bardzo bawiła go-ścia, niekiedy ukradkiem mierząc go wzrokiem, jak gdyby zbadać go chciała...

Pułkownik szedł obok w odsieczy. posiłkując przyjaciela, którego przykre położenie aż nadto jawne było. Przejście z folwarku pana rządcy do pałacu by-ło przez część parku otaczającego... utrzymanego z wielkiem staraniem, nłożonego ze smakiem. W ry-sunku i ugruppowaniu klombów, major gdyby się był znał na tem. poznałby wykształcony smak artystycz-ny... Drzewa barwą swych liści i kształtami składały malownicze wiązanki, wśród których zaledwie zaakli-matyzowane, rzadkie i osobliwe widać było krzewy. Niektóre z nich właśnie żywemi zakwitały barwami...

To co się nazywało pałacem, nie miało może prawa do tego imienia, chyba rozległością swoją. Był to raczej ogromny cottage angielski, poobwieszany winem dzikiem, klematysami, wijącemi się różami i bujnemi roślinami, stare dość opinającemi ściany. Ginęła niemal niesmaczna architektura budowy pod tem żywym przykryciem... Wydawało się to jeśli nie pięknie, to malowniczo bardzo, fantastycznie... oryginalnie. Gdzieśniedzie z pośrodku liści wychylał się biały wazon kształtów szczególnych i przerywał je dnostajność zieleni... Pałac budowany niemięciennie przybudowywany, poprawiany, nieregularny, ratował się tem, że pretensyi mieć nie mógł do żadnej archi-tektury. Ręka nowej dziedziczki odświeżyła go tylko i starała się trwałym uczynić. Dawne okna podmie-niano na jednoszybowe, dach kolorową okryto da-chówką... słupy nieforemne zastąpiono wyrzeźbionemi kunsztownie... Pomimo to, ozdoby były tak umiarko-wanie rozrzucone, tak prawie skromne, iż nie razily tą zalotnością niewczesną, jaką ma często architekta-

ra młodych budowniczych i świeżo zbogaconych panów. Pałac z pewnych względów strojem przypominał swą panią: miał sukienkę bardzo prostą, ale wytwornego kroju.

Było to zresztą cechą wszystkiego co otaczało panuę Adę; widocznie unikała narzucania się oczom, jaskrawości, krzyku — powaga i spokój panowały wszędzie. Może tylko pamięć o utrzymaniu tego charakteru wszędzie, we wszystkim, w najumniejszonym kątku, nadto była widoczna. Idąc, dziedziczka wobodną rozmową starała się towarzyszącego jej, zeznawanego już majora, rozrzucać spoutfalić, ośmielić. Pokazywała mu niektóre drzewa, mówiła o gospodarstwie, zapytywała o okolice — w której mieżka i t. p.

Zamiast wniknięcia przez główny ganek od dziedzińca i bramy, w której tego ranka Szymek się tak z panem swym spierał, pani domu poprowadziła majora przez ogród ku południowej stronie. Tu całą niemal ścianę pałacową zakrywała przysbudówka szklana, rodzaj oranżeryi, zimowego ogrodu, z którego teraz drzewa już były powynoszone. Okna odjęte i zastąpione okryciem z płótna szarego, zwilżanego kilkakrotnie na dzień, aby tu chłód utrzymać. Ztąd wprost wchodziło się do obszernego, nieco ciemnego i trochę niskiego salonu, zastawionego starami, a raczej starożytnymi meblami. Fantastycznie przybraany, miał to do siebie, że był oryginalny. Można się żeń było domyślać, że między innymi upodobaniami dziedziczki był i bric à brac. Rzeźbione sprzęty, zwierciadła weneckie, delfty, japońskie naczyńia, laki i porcelany — wszystko co tu nagromadzone było, z wielkim smakiem ułożyła zajęwne sama, unikając zbytniej symetryi. Rozległość sali nie dawała jej zbytniemu napełnieniem przypominać magazynu. Był to jakby motyw do ładnej obrazka z XVII wieku...

W salonie oczekiwało kilka osób... gdyz obiadowa godzina je tu zgromadziła...

Major w pierwszej chwili zaledwie mógł nazwiska i fizyognomie połapać przy wzajemnem prezentowaniu.

Pierwszą, która wyszła naprzeciw pani, była panienska młodziuchna, ładna, zręczna, ale widocznie oniesmielona, jakby zahukana. Oglądała się ciągle niby przestraszona, wahała mając przemówić, rumieniła, i żal jej musiało być patrzącym, tak się męczyła niepewnością na każdym słowie i kroku.

Ta niesmiałość dziecinna nadawała panience szczególny wdzięk i budziła politowanie. Spojrzawszy, z jaką pokorą przystąpiła do nadchodzącej panny Ady, jakim ona ją surowem i badawczem zmierzyła okiem — dawało się to wytłómaczyć. Mimo całej dobroci, znć było w stosunku tych dwóch kobiet różnice jakas charakterów, która im zbliżyła się do siebie nie dawała... Panna mogła mieć lat około dwudziestu, zachowawszy piętnastoletnie rumienie i niesmiałość; miała słiczne niebieskie oczy, orzechowej barwy włosy brwi ciemne, pleć do zbytku białą, którą co chwila krew płomieniami zalewała... Z całą swą świeżością wdziękiem, wyrazem niezmierniej dobroci i łagodności, panienska przy pani domu wyglądała na nie to pospolitą, choć nierównie od niej sympatyczniejszą. Widać w niej było kobietę w całem, najpełniejszym wyrazu tego znaczeniu. Była to daleka uboga krewna panny Ady, panna Karolina Horodzka, którą kuzynka zwała pospolicie Sensytywą... Należy też wiedzieć, że Ada uczyniła sobie z tego zadanie, aby u Karusi tę chorobliwą wrażliwość i czułość przygłuszyć, zahartować, zniszczyć. Uważała to za obowiązek. Czy zręcznie się do tego brała — nie wiemy; lecz walka zdawała się sensytywę więcej rozdrażniać niż ukajać, niesłychanie ją męczyła.

Karusia byłaby się pewnie wyrzekła wszystkich przyjemności i korzyści pobytu u bogatej kuzynki, uciekłaby od niej — ale uciec gdzie nie miała. Kochała ją, szanowała, wielbiła, widziała w niej ideał niedo-



scigniony—lecz było to dla niej bóstwo... którego woz ciężki codzien jej żelaznemi koły na wpół przerzynał serce.

W najszlachetniejszym celu, panna Ada upierała się z Karusi uczynić istotę sobie podobną, kierującą się czystym rozumem, broniącą wrażeniom, niedostępną czułościom i sentymentalizmowi, zimną, praktyczną, panią siebie. Biedna sensytywa, najmocniej pragnąc stać się do tego wzorn, jaki miała przed oczyma, podobną — w końcu powiedzieć sobie musiała, że to jest nad jej siły. Życie jej było cichą męczarnią—płakiwała po nocach, ale we dnie starała się uśmiechać i ndawała jak mogła kamienną... Kilka razy splotąwszy i szepnąwszy coś gospodyni domu, Karusia żywo się usunęła na stronę. W sam czas, gdyż na powitanie szedł dostojny, niedawno przybyły gość, ksiądz kanonik (i przyszedł infułat...) Otto hrabia de Bello.

Niepodobna go pominąć zbywając lekko. był to bowiem i w domu panny Ady, i w okolicy, i w prowincyi znany i wysoko szacowany człowiek.. Zasługiwał na ten szacunek najzupełniej, a sympatya pani domu dla niego tłómaczyła się podobieństwem charakterow i pojęć w obojgu.

Postać ta nie potrzebowała badania i wpatrywania się, tak była wyrazista, nacechowana i charakterystyczna. Słusznego wzrostu, silnej budowy, ks kanonik Otto bladej był, chudy, i na twarzy nosił piętno smutności niezblaganej, którą się odznaczał. Nie był to zły człowiek, owszem łaskawy i miłosierny, w spełnianiu obowiązków posuwający się do ofiar największych—lecz w tem co czynił nie było tego czego żądał apostoł — miłości... Było to chodzące prawo, ułaskawienie, niedając się rozbroić, zimne i wszelkiemu uczciwemu, słabemu, zapomnieniu się nieprzyjemne. Nie niósł z sobą przebaczenia i pociechy ale grozbę, postrach i wyroki żelazne..

Pomimo to w kanoniku na pierwsze wejrzenie każdy poznał człowieka wychowania wyższego, nawy-



kłego do salonów, obracającego się w towarzystwie wyborowem. Długi pobyt we Francyi. potem w Rzymie. uczynił go nieco obcym stosunkom, a nade wszystko duchowi kraju, który miłością grzeszył i miłością nawykł być rozgrzeszany... Ks. Otto był nadzwyczaj delikatny ugrzeczniiony, mówił wszystkiemi możliwemi językami. pisał niemi doskonale, słynał z nanki i erudycyi, dał się nawet poznać kilku rozprawami polemicznemi w przeglądach i dziennikach.

W pewnych kolach, bardzo szerokich była to powaga i wyrocznia, była potęga, której się z trudnością mógł kto opierać. Wielka ogląda światowa nie przeszkadzała kanonikowi okazywać niekiedy delikatnie, że czuł i znał siłę swoją, która zlewał zresztą ze źródłem z jakiego pochodziła.

Zuany z prawości, nieskazitelności i niezłomnego charakteru. ks. Otto de Bello był — potrzeba to wyznać — kapłanem z powołania. przekonania i bez żadnych widoków światowych. Był to żołnierz wierny sztandarowi, przywiązany do niego, gotów dlań poświęcić wszystko; lecz — mówiono sobie, że w istocie rycerzem był raczej. niż kapłanem.

Wedle pojęć naszych starych, kapłaństwo było nade wszystko powołaniem miłosierdzia i miłości, władzą rozgrzeszającą i pocieszającą. szafarstwem balsamu dla Samarytanów tego świata... Ks. Otto de Bello pojmował je zupełnie inaczej. jako straż księgi prawa, jako czuwanie nad tem, aby o nim nie zapomiano, jako dzierżenie miecza i chłosty... Nie trafiło się nigdy, aby przy całej swej nauce i gorliwości ks. kanonik kogo nawrócił, — ale wymieniało osoby, co smrowością jego zrażone, odepchnięte poszły się rozpaczone błąkać na bezdroża.

Gdy ktoś raz mu o podobnym wspomniał wypadku, kanonik z krwią zimną odpowiedział: „Tem lepiej gdy się parszywe wydziela ze stada... Czasy się zmieniły. surowym być trzeba.“

Wedle tych zasad kierował się kapłan surowy, któremu zresztą, oprócz tej niezblaganej surowości, nie zarzucić nie było można. Nikt gorliwiej nad niego nie zbierał składek na szpitale, zakłady dla sierot i ubogich, na wydawnictwa budujące i t. p. Nie mógł mu nikt najmieszaj zadać słabostki. Surowy dla drugich, był ostrzejszym jeszcze dla siebie...

Otaczało go też powszechne uwielbienie. Panna Ada dzieliła je z innemi, i była jedną z posłusznych, a najmiłszych ks. de Bello klientek. Ile razy potrzeba było ofiary, a z innych źródeł nie mógł jej wydobyć kanonik, udawał się tutaj, i dosyć było słowa, napomnienia, aby natychmiast spełniono jego życzenie. On też zarówno pannę Adę wynosił jako wzór niewiast, jako istotę wyjątkową, którą niemal do ubłogosławienia podnosił.

Czesty gość w tym domu, poradnik sumienia — dla jednej może panny Ady był cokolwieczek pobłażającym. Zamykał oczy na fantazyje i słabości panny Pretwiczówny. Ubolewał nad tem, że je miała — przebaczał... Rzucanie się na różne drogi badań naukowych, czasem nie zupełnie się z ortodoksyą dających pogodzić, tłumaczył ks. Otto próżnią w życiu panny Ady, pozbawionej rodziny... która ją zmuszała do szukania pokarmu, zajęcia roztargnienia. Mówiono powszechnie, chociaż rzecz była niedowiedziona, iż celem było ks. kanonika Ottona skłonić pannę Adę, która wcale za męża i c. nie miała i głośno się z tem oświadczała, do przekazania całego ogromnego majątku na kościół i jakis instytut zakommo-dobroczynny o którym bliższych szczegółów dowiedzieć się nie było można. Było to wiele prawdopodobnem. Tymczasem jednak piękna Ada, pomimo pobożności swej, miewała dziwnie świeckie fantazyje — artystyczne, niby nankowe i t. p.

Parę razy jeździła za granicę słuchać różnych kursów, których prelegenci stali na ideksie — czytywała Renania i Stranss'a... Wszystko to jej uchodziło

Przywitanie z ks. kanonikiem, którego gospodyni w rękę pocałowała. było pełne pokory i uprzejmości zarazem... Ks. Otto z kąsa spojrzał na pułkownika i przywitał go uśmiechem, w którym czuć było co najmniej obojętność i nieufność — nie bardzo też mile popatrzał na majora... Dawni wojskowi, ludzie indyferentyzmem zarażeni — nie byli mu do smaku. Pułkownik skutkiem wpływu ks. Ottona dawno by był może wyleciał i został zastąpiony przez innego ścisłej ortodoksyjnego rządce: ale — panna Ada silnie obstawała przy nim — i o to rozbiły się starania dyrektora sumienia, który stanowczy opór spotkawszy, zaraz się cofnął...

W obejściu się salonowem, powszedniem kanonika można się było domyslać surowości jego, ale się ona nie objawiała zbyt wyrazicie. Mówił o rzeczach obojętnych, unikał kwestyj drażliwych, często milczał gdy je rzucano... Można było sądzić czasem, że nie chce rozrzucić pereł, inter. jak to tam stoi w przysłowiu.

I tego dnia nader miłym i łaskawym okazał się ks. kanonik, prawie wesołym, choć aż dwóch sceptyków w towarzystwie mogło mu je ratować.

Za kanonikiem zdała stała figura podrzędna, wiadać domownik, trochę dziwnie ubrany i oryginalnie wyglądający. Był to mężczyzna lat średnich, bladej, twarzy jakby nalanej, z oczyma zmęczonemi, zadumany, roztargniony, w aksamitnym surduciku i takiejże reszcie ubrania.. Włosy w wielkim nieładzie wznosiły mu się nad czołem. Artysta go czuć było o stałe, i w istocie poświęcał się temu zawodowi... Lecz nie-szczęśliwa to była istota ze wszech miar: Pan Bóg mu dał poczucie piękna, intelligencyę, ochotę do pracy, zdolność pojmowania wszystkiego, a odmówił władzy — tworzenia i wcielenia swych myśli... Zwał się Mirosław Obłęcki. Uczeń nie wiem ilu szkół, przez długi pobyt w Rzymie i za granicą, po wszystkich galeryach, p. Mirosław zdawało się, że się potrafi wy-

kształcić na znakomitego artystę... W istocie nabrał wiadomości. wyrobił smak. sąd zdrowy, ale dłoń jego pozostała bezpłodna. Był w stanie okazać wady każdego utworu cudzego. poddać najsprawiedliwszej krytyce arcydzieło, unosić się uwielbieniem i szaleńcem dla wielkich mistrzów i ich kreacyj — był w stanie narreszcie obmyśleć choćby Kaulbachowską kartę olbrzymią, zachowując wszystkie prawidła i warunki, jakich wymaga sztuka, — ale — gdy przyszło do wykonania — rozbijał się o nie. Rysunek był nierówny. koloryt dziwaczny... Nigdy nie nabrał manieri żadnej. techniki niczyjej, próbował wszystkich, próbował wiecznie, i choć siwiał już trochę, został studentem na zawsze.. Mistrz gdy mówił, za stalugą był bazgraczem..

P. Mirosław pojmował piękności wszelkie od Perugiua począwszy do Carrachów i Corregia. dobywał z każdego płótna co w nie włożyło natchnienie, unosił się czasem nad Bellinim. jutro nad Boucher'em i Watteau; — gdy przyszło do wyboru szkoły, stylu — był bezsilny.

Dreczęł się tem i walczył. Własnie smutne jego położenie skłoniło litościwą panię Adę do dania mu roboty... Wynajdowała różne ornamentacyjne w domu zajęcia. w bibliotece porządkowanie. restauracye starych obrazów. w których Mirosław był mistrzem. aby mu dać przytułek. chleb. a dla siebie mieć w rozprawach o sztuce bardzo miłego interlokutora ..

Obłącki jako sędzia piękna, jako estetyk i znawca w istocie był znakomitym, — rozmowa jego nauczająca. pomysły. jakie rzucał, genialne. Panna Ada to się z nim sprzeczała, to od niego uczyła, a że napadały na nią całomiesięczne artystyczne miłośnictwa i gorączki, był jej w domu potrzebny... Miała dlań prawie takie względy. jakie się ma dla nieszczęśliwych, dla chorych i kalek. Takim się jej wydawał ten człowiek, co śnił arcydzieła a tworzyć ich nie był w stanie, zrodzony na męczarnie Tantala, — który mimo jawnej

niendolności swej. wyrzec się nie chciał kunsztu i miłował go miłością wielką. serdeczną. ofiarną.

Było to zresztą ciche, spokojne, łagodne, w po-  
życiu niezawadne stworzenie... nie potrzebujące wie-  
le... Całe dni gotów był spędzać nad sztychami i ry-  
sunkami, lub nad kartonami swemi. Gdy mu myśl  
jaka dopiekała tak. że się wreszcie ważył na przenie-  
sienie jej na papier, zamykał się na klucz. nie jadł. nie  
wychodził, nikogo nie puszczał do siebie — rozogniał  
się. palił. zdało mu się. że zwęzi ży ten czar, to zakłę-  
cie co go czyni bezsilnym... Trwało to zwykle aż do  
ukończenia kartonu... Stawał potem Mirosław przed  
nim. patrzył... myślał, czasem mu się lzy z oczu rzuci-  
ły. i — z wściekłością biegł karton szarpać w kawałki.  
rzucać i palić. by śladu po nim nie pozostało... Po ta-  
kim paroksyzmie leżał chory i potrzebował długiego  
czasu, aby znowu przyjść do siebie. Wielokrotne pró-  
by takie czyniły go w końcu coraz mniej śmiałym. nie  
ważył się na te próby co go tyle kosztowały... Niekie-  
dy miesiące całe nosił się z myślą. Milczeć o niej nie  
umiał. na chwilę się oderwać nie mógł... rozповідаł  
najobojętniejszym swe pomysły. konstrukcyę olbrzy-  
mich obrazów. charaktery osób, aż do kolorytu i ob-  
myślanej techniki... i wszystko. wszystko szło marnie.  
gdy przyszło myśli dać ciało!

W domu swej dobrodziejki. której był wielbicie-  
lem, Mirosław zajmował stanowisko bardzo malucz-  
kie — krył się za innymi, nie powołany nie odzywał  
się. Przychodził na obiady i wieczery, resztę czasu  
spędzał na przechadzkach, w bibliotece lub w swem  
atelier w oficynie. w którym największy nieład pa-  
nował...

Ponieważ gospodyni bywała niekiedy i muzykal-  
na, a muzyka poważna. religijna czasami ją do egzal-  
tacji nawet rozmarzała — dom miał też muzyki repre-  
zentanta w starym Czechu. przez długi pobyt w kraju  
zupełnie spolszczałym, z długimi siwymi włosami  
i poważną fizygnomią, noszącym tytuł dyrektora. pa-

nu Wacławie Rubaczku... Ten także zdawał stawał. mówił niewiele, i powołany tylko służył do rozwikłania kwestyj muzycznych. do towarzyszenia na organach w kaplicy w czasie Mszy Świętej. a czasem do odegrania jakiego nowego utworu, którego wielki rozgłos obudzał w pannie Adzie ciekawość. Dyrektor Rubaczek był człeczek chytry. milczący, mimo wieku mający wiele. nie bardzo zalecających go. nawyknień— słowem jako człowiek wcale był nie osobliwy. ale jako muzyk nie miał równego. Czytał partytury z biegłością zadziwiającą. pisał piękne kościelne pieśni. był kontrapunkcista doskonały, znawca gruntowny, a nawet wcale niepospolity fortepianista. I skrzypce mu nie były obce. Wprawdzie posztywniały mu już palce nieco. ale umysł został żywy.. Surowy sędzia. Rubaczek na nową szkołę trząsł głową i ruszał ramionami. a panna Ada podzielała zdanie jego o niej. Muzyka kościelna była dlań niemal jedyną uznaną muzyką. figle wirtuozów jak łamane sztuki budziły w nim pogardę, jak nadużycie i świętokradztwo...

Rubaczek miał już lat przeszło pięćdziesiąt. Zawsze wcześniej zestarzał, bo się nie szanował; pił. gdy mógł począwszy od wina do siwuchy, co napadł; pracą się brzydził, i z siwemi włosy był najśmieszniejszym. a najgorętszym wielbicielem płci choćby nie pięknej zresztą. byle młodej.

To mu odejmowało wszelki szacunek i konsyderyację gospodyni. która dla dworu swojego była bardzo surowa. Parę razy Rubaczek dostał był odprawę za różne folwarczne awanturki, ale wyprosić się umiał. a nie było ktoby go u organów zastąpił... Miano tylko na niego oko, i pułkownik dosyć po żołniersku z nim postępował..

Niby sekretarz, na wpół bibliotekarz. stał jeszcze dalej w kątku, czarno ubrany, we fraku. z miną obudzającą politowanie. Zwał się Bonifacy Musiatowski. Był on niegdyś profesorem podobno języka łacińskiego. urzędnikiem, jakimś czas próbował nowi-

cyatn u Kapucynów, którego nie mógł wytrzymać. nareszcie musiał tu szukać przytułku. Musiatowski był także niemłodym człowiekiem. chudy, długi i noszący piętno sarkastyczne tych ludzi co się mają za geniusze. przez świat nieuznane. pokrzywdzone... Z twarzą męczennika. kwaśny, pogardliwy. milczący, Musiatowski patrzył na świat z góry. Gdy znalazł sympatycznego słuchacza. chętnie o tem mówił. coby to on mógł. coby pisał, coby robił — gdyby ludzie tego byli warci. Krytyk snrowy. wszystkich wielkich poetów odsądzał od czci i wiary... Nie było dlań książki. którąby czytania mienił godną.

— Śmiecie — głupstwo — galimatias! odzywał się rzuciwszy okiem.

Musiatowski marzył, fajkę palił, rozmiłowany w sobie. sobą się samym karmił — a że pannie Adzie był posłuszny. pisał wyraźnie. bez omyłek, zawsze się znalazł gdy był potrzebny i obowiązki swe pełnił dosyć pilnie. z obawy aby się go nie pozbyto (znając surowość swej pani) — ntrzymywał się na swem stanowisku. Zrzekł był się zupełnie wszelkiej nadziei i przyszłości. coś jednak pisał czasami. ale nikomu się z tego nie zwierzał. Posądzano go o niedorzeczne pamiętniki własnego życia.

Musiatowski nadto był dumny, aby we dworze z kimkolwiek przestawał: malarza nazywał waryatem. a Rubaczka po prostu lajdakiem. Rzadko mówili z sobą: i w ogóle mało się odzywał ów geniusz niepoznany... Gdy nowa jaka książka wielkiego rozgłosu się ukazała. a posłyszał o niej. wykradał ją zwykle z biblioteki, szedł z nią na miejsce samotne i tam napałował się szyderstwami, które w nim obudzała... Śmiał się, skakał. rzucał ją. chwycił. pluł, żyzymał się. wreszcie odnosił. i nigdy nie był weselszym. niż gdy się przekonał. że sławione arcydzieło funta kłaków nie było warte.

Panna Ada знаła to jego usposobienie, i czasami nawet się niem próbowała. wywołując jego zdanie.



Przychodziło to z trudnością. Musiatowski był zamknięty w sobie: niekiedy jednak rozdrażniony, rzucił słów kilka. Budziły one więcej litości niż śmiechu. Z tego co się niegdyś uczył, zostało mu jedno — łacina, którą gruntowniej nmiął. Z tej był pyszny, i człowiek, co tego języka nie umiał, nic u niego nie ważył...

Taki był skład dworu pani Ady, na którym ona despotyczną rozciągała władzę, ale razem i macierzyńska opiekę...

Już prowadzona przez ks. kanonika do sali, gospodyni w towarzystwie panny Karoliny, majora i pułkownika, miała się skierować ku jadalnemu pokojowi, będąc pewna, że jak tylko wybiła godzina, obiad musiał być gotów, gdy z drugiej strony otwarły się drzwi i wszedł niemi z twarzą wesolą bardzo piękny młody mężczyzna.

Z pontalego tego wnijscia, śmiałego przestąpienia progu i wyrazu młodej twarzy, wnosić było można, że był tu powszednim gościem, spodziewającym się dobrego przyjęcia. Spojrzenie rzucone na salę i widok majora, który drgnął cały zobaczywszy wchodzącego, — wprawiły go w zdumienie, prawie w osłupienie.

Uśmiech gospodyni wesoly, ocenił go z niego. Gość zdawał się chwilę wahać kogo ma wprzód przywitać, szybko skłonił się pannie Adzie i rzucił ojcu w objęcia. Był to Robert Jazyga...

Majorowi łzy w oczach stanęły, całował syna, słowa nie mogąc przemówić — patrzył nań napatrzyć się nie mogąc. Widok tej sceny poruszył wszystkich, nawet na twarzy gospodyni widać było pewne, wnet poskromione wrażenie... Rozjaśnionej fizyognomii majora nikt się dziwić nie mógł, bo w istocie mógł się synem pocieszyć i nradować, tak był nietylko piękny, ale od razu pociągający ku sobie wyrazem otwartym, szlachetnym, niemal dziecięcą prostotą...

Powiedzieliśmy już, że był to piękny chłopak; lecz piękność jego nie była z rodzaju tych, które się



w salonach najczęściej trafiać zwykły. Robert był opalony, zdrów, przy rysach regularnych i dziwnie miłych, miał w sobie chłopską świeżość; nie rozmarzonego, nie sentymentalnego w nim się nie przebiło — było to życie, rade z siebie, rozwinięte w pełni, nie zwichnięte niczem, była to piękność zdrowa i silna. — a przytem, choć oczom nie zbywało na intelligencji, czołu na roztropności, całemu wyrazowi na swobodzie jaką daje łatwość pojęcia i porozumienia się ze światem — wyraz twarzy odznaczał się jakąś młodzieńczą naiwnością, jakby przedłużoną i zapożyczoną z dzieciennego wieku. Wesoły spokój opromieniał te lica, przypominające niby twarz młodego Fauna, niby jakiegoś ubóztwionego młodziana, który nie potrzebował nigdy walczyć z życiem, tylko mu się uśmiechać.

Tak wyglądał ten ukochany Robert, słuszny, gibki, szerokich ramion a niezbyt rozrostły, zręczny, ciemnego włosa, ciemno modrych oczu, z ustami różowemi, zawsze się nieco uśmiechającemi, około których wąsik z jednej strony z drugiej świeżo zapuszczona miękka bródka się zwijała... Oprócz księdza kononika Ottona, który bardzo zimno głową mu skinął, wszyscy go powitali serdecznie, a gospodyni domu z widoczną poufałą uprzejmością.

— A prawda? spytała podając mu rękę i pokazując białe ząbki — żem panu zaproszeniem miłą sprawiła niespodziankę? Proszę mi za nią pięknie podziękować...

Robert pocałował ją w rękę z uczuciem poszanowania i podziękował wejrzeniem... Potem zwrócił się ku ojcu, który chciwie nań oczekiwał, choć tylko co z ucisku mu się wyrwał.

Już miano do stołu iść, gdy nadeszła ostatnia do dworu panny Ady należąca, krewna jej. — rezydentka, zapewne najmniej czterdziestoletnia... panna Hortensya Trocka...

Szła z wielką powagą, krokiem wyrachowanym, z miną skwaszoną, opiętą, nbrana z widocznem stara-

niem o to, aby stroj powagi dodawał i uwydatniał arystokratyczne jej pochodzenie. Twarz żółkła, nieładna, trochę już pomarszczona, zdawała się przejęta tą żółcią, jaka z całej jej postaci się sączyła. Wzrok miała zatruty, uśmiech szyderski, czoło chmurne i na widok jej chciało się uciekać, tak razila nagromadzoną w sobie złośliwością—niechęcią—zgryźliwością.

Była to także jedna z tych istot do szpitala przeznaczonych, nieznosnych, które panna Ada trzymała dla tego, że niktby ich znieść i wytrzymać nie mógł. Uboga krewna, nie mogąca znieść ani nóstwa swego, ani sprzeczności, w jakiej ją z niem stawilo znakomite pochodzenie i urodzenie z jakiejs księżniczki. —byłaby zatrula każdy dom, gdyby tu zimna krew, wielki takt, cierpliwość chłodna i niewyczerpana, narreszcie nawyknie nie czyniły jej — znosną. Ada wielu rzeczy nie widziała, nie chciała słyszeć wielu, na wiele pytań nie odpowiadała — i zawsze równie, uprzejmie obchodziła się z nieszczęśliwą. Wsmawwszy się do salonu, z gniewem za to, że się opóźniła (przypisywała to niesłusznie nmyślnie zaniedbanemu oznajmieniu), panna Hortensya przywitała kuzynkę niechętnie, nie spojrzała prawie na nikogo, i z francuzką rozmową zwróciła się do ks. kanonika, który z wielką attencyą zbliżył się do niej. Szanował w niej nieszczęśliwe dziecie wielkiej rodziny (o tej wielkości mówiła ona ciągle) a razem nadzwyczaj przykładną pobożność i wielką nległość dla władzy duchownej.

Z wejrzeń, które cały teraz zebrany dwór panny Pretwiczówny rzucał na siebie, widać było, że ta garstka ludzi zmuszonych żyć z sobą — była w rozstroju i zwadzie; -- nikt nie przemówił do nikogo, wszyscy zdawali się unikać otarcia jedni o drugich. Jednym węzłem, co łączył tę zbieraną drużynę, była pani domu ze swą królewską postawą, nakazującym wzrokiem, przed którym chyliło się i milkło wszystko posłuszne... Jeden pan Mirosław Obłęcki, zatopiony zapewne w jakimś zadaniu artystycznym, na niko-

go nie patrzył — i zdawał się obcym temu co go otaczało...

Pani domu szepnąwszy coś do ucha majorowi, który się skłonił, podała rękę kanonikowi — i wszyscy się posunęli ku jadalnej sali.

Francuzkie przysłowie, często przerabiane mówi: — powiedz mi z kim przestajesz, powiem ci kto jesteś. Z równą słusnością możnaby to zastosować do domu i mieszkania. Powiedz mi jak mieszkasz, powiem ci kto jesteś.

Nie zawsze człowiek wolen jest wybrać sobie schronienie, często się mieści w opustoszałej skorupce po dawnym jej dziedzicu, — ale zawsze niemal urządzić się może, stosownie do charakteru swego i smaku. Mimowolnie w tem czem się człowiek otacza, odciska się jego usposobienie, gusta — on cały. Czytać tylko umieć trzeba.

Tak też w domu. nazwijmy go pałacym, pauny Pretwiczówny. którego ona ani budowała. ani przebudowywała nawet. Samo wewnętrzne przyozdobienie. urządzenie znamienowało energiczny charakter. który. umiając się zastosować do miejscowych warunków. potrafił w danych ramach wszystko przetworzyć po swojemu. Dawni dziedzice byliby nie poznali starego dworu.. Wszystko w nim było obrachowane praktycznie, wygodnie. trwale, a w dodatku tak ozdobnie, aby oka nigdzie nie razila dysharmonia linii lub koloru, zestawienie rzeczy. które od siebie dziela wieki, i które razem iść nigdy nie mogą.

Artystę razem i umysł chłodny a praktyczny czytać było można z fizygnomii tego domu. Rzadko się to łączy z sobą; a tu stanowiło jak najspólniejszą całość. Nie było nieładu artystycznego nigdzie, czyistość hollenderska, porządek do drobnostkowości posunięty — a dobór najumińszego sprzętku przekonywał, że szczegół żaden nie był obojętny...

Jak sala bawialna tak jadalny pokój przybrany był po pańsku. ani jaskrawo, ani błyszcząco. Na ścianach nieuniknione stare portrety. po rogach dwa przepyszne bufety na wzór starych szaf gdańskich, przy oknach kwiatów wiele... W jednym z tych bufetów z za szkła patrzyły stare puhary, roztruchany, kubki, półmiski i misterne roboty złotnicze, które nieboszczka matka pauny Ady, cudem pocalała, wykupując z zastawu... bo je mąż wszystkie był porozpraszał...

Nad drzwiami jako supraporty widać było wyborne hollenderskie obrazy, przedstawiające owoce, kwiaty i zwierzynę... Stół i krzesła nawet do bufetów zastosowane były. a porcelana saska, na której obiad był podany, należała do najpiękniejszych z czasów Marcoliniego.

Major, nie nawykły do takich występów. od śmierci żony zakopany na wsi, żyjący skromnie, po kawalersku. po żołniersku. jadający sam na rogu stoliczka pokrytego grubą serwetką, widocznie był pańskością tego domu i stołu zafrasowany.

Jak się on tu znalazł ze swą taratatką trochę wyszarzaną. z trochę zapyłonym kołnierzykiem, niby jednym z dworaków tej dumnej pani — sam nie wiedział: obwiniął o to w duszy trochę Roberta — to znowu Brandysa...

Sam też sobie wyrzucił, że wpadł na tę — galeryę!... Była to dla niego galera istotnie.. Przyjęcie nprzejme. grzeczność pani. życzliwość jej dla syna, widoczne względy, jakie mu okazywano — nie mogły zniszczyć wrażenia, że był.. niby dworakiem u wielkiej

pani, która raczyła dać mu miejsce u stołu, i gotowa była myśleć, iż mu tem humor i łaskę czyniła...

Twarze, po których spoglądał, wydawały mu się wszystkie napiętnowane niewolnictwem. subordynacją, upokorzeniem. Z wyjątkiem kanonika i kwasnej panny Hortensyi, zachowujących pewny pozór niezawisłości, wszystko to byli — poddani panny Ady. A wśród tych — poddanych *glebae adscripti*. major z oburzeniem w duszy widział syna swego, usmiechniętego, wesołego, dzwigającego te dworactwa kajdany... jakby mu one nie ciążyły. To go gniewało... I myślał brwi marszcząc mimowolnie: *Sacrenom!*... (oba oni z pułkownikiem z wojska francuzkiego to *sacré* powynosili) — nie mógłby n siebie zjeść krupniku i pójść swobodnie z wyżłem? trzeba mu tu tem zatrutem powietrzem oddychać. Tymczasem Robert, nad którego losem się tak ojciec użalał, twarz miał najszczęśliwszego z ludzi, usta mu się śmiały, obracał się swobodnie, był tu jak w domu!

Oczyrna zdawał się tylko ojcu zadawać pytanie. — A co? nie miałem słuszności chwalić się tą znajomością i tem towarzystwem?...

Z drugiej strony pułkownik Brandys, z uwielbieniem będący dla dziedziczki, dla swej dobrodziejki, — patrzył ukradkiem na majora, oczekując na to jak się nawróci, jak mu się czoło rozjaśni... jak padnie na twarz przed bóstwem jego.

Gospodyni domu była w istocie ujmująca. a nade wszystko niezrównanej zręczności i talentu w spełnianiu swych obowiązków. Nie zapominała o nikim. słyszała wszystko — prowadziła na raz trzy rozmowy różne, pamiętała o gościach swych. nie zaniedbywała nikogo, i starała się, aby obiad, który był bardzo wytworny, smakował im wszystkim. Pułkownik miał nadzór nad butelkami. Usługa cicha, wprawna, szła z czarodziejską regularnością. Ale major — major wołałby był, jak sobie mówił w duszy, śmierzdzącą jajecznicę w karczmie, niż te pulpety. Mało też jadł. tro-

chę dla tego, że się wewnątrz burzył, po części, że mu wytworny stół nie smakował i wydawał się zagadkowym. Major potrzebował wiedzieć co je — zasmakowane mięsa, poprzestrajane ryby, tajemnicze siekaniiny, sosy nieznanego pochodzenia — wstrętliwe mu były...

Jazyga nie był dawniej tak zadomowiony i zarzewiały, nie miał w sercu tej nieprzyjaźni i wstrętu do wszystkiego co pańskie. Same stosunki dawne wojskowe zbliżały go do wielu znakomitych domów, szczylił się koleżenstwem i przyjaźnią generała hrabiego Wincentego i zjadał u niego obiady najdoskonalsze w Warszawie; — ale, ale — od ożenienia swej o nanczył się nienawidzić arystokracji i stał zapalonym demokratą. Nieboszczka żona pana majora Jazygi, była uboga, ale hrabianka O... a rodziła się z litewskiej kniaziówny. Gdy ją pokochał i zyskał jej serce — rodzina, która piękną sierotę znakomitego rodu daleko świetniej wydać za mąż się spodziewała — stanęła murem przeciwko niemu. Musiał walczyć, musiał żonę przysłać i siebie na najboleśniejże narażać sceny, musiał niemal gwałtem ją zdobywać... Gdy narreszcie małżeństwo to przyszło do skutku, rodzina pani Jazygowej wyrzekła się jej zupełnie, zerwała wszelkie stosunki, znać jej ani widzieć więcej nie chciała. Biedna kobieta męczyła się tem i gryzła, usiłowała przełamać te niechęci, i to jej — jak mówił major — zgon przyspieszyło. Przywiązanie do żony zrodziło potem tę nienawiść do świata, z którego ona wyszła, do wszystkich form jego i zasad... Dla tego pragnął syna wychować i zachować w innej atmosferze, która mu się zdawała zdrowszą; dla tego nie chciał dlań nawet świetnego wychowania, aby smaku w towarzystwie wykwintniejszem nie nabrał...

A teraz — los — dziwny jakis szyderski traf — nadszedł, że właśnie w te sidła, których się tak major obawiał dla Roberta, wpadł on nieświadom niebezpieczeństwa i lubował sobie w tem... Major obwiniał

najwięcej samego siebie... Wypłynęło to ze zbytniej troskliwości i obrachowania.

Gdy chłopak dorósł, Jazyga sobie powiedział:

— Niepodobna go tak trzymać przyszytym do mojej kapoty. Trzeba, żeby chłopiec wcześniej nauczył się mieć swoją wolę i sam sobą kierował. Będę naglął jak to iść będzie; nim zamknę powieki, mam czas sprostować, gdyby krzywą, niewłaściwą poszedł drogą.

Oddać mu jedynej wioski, jaką miał w Grodzieńskiem, nie mógł pan major. Nie chciał być, choćby u najlepszego w świecie syna, na łasce... Mógł mu, wedle swej myśli, wziąć dzierżawę blisko... Ale to znowu sprzeciwiało się zasadzie i rachunkowi.

— Jak będzie mi pod nosem siedział, mimowolnie się wtrące... nie dam mu swobody, której potrzebnje...

Trafiła się dzierżawa w Brzeskiem około Ruszkowa, a w Ruszkowie siedział stary pułkownik, kolega: majorowi zdawało się, że nic lepszego uczynić nie może, niż wziąć dla Roberta Zahaje, i polecić go opiece starego towarzysza broni...

Brandys ucieszony synem przyjaciela, wprowadził go do domu swej dobrodziejki. Panna Ada, choć dla niej Robert był zbyt prostodusznym, aby się nim wiele zabawić mogła, przez jakąś fantazję niewytłomaczoną zajęła się nim dziwnie...

Zdawała się jakiś nowy nieznany typ badać w nim. bawiła się tą jego naiwnością, która nie była pozbawiona intelligencji... Traktowała go wprawdzie trochę jak dziecko i studenta... ale widać było, że się jej podobał...

Robert był z nią równego prawie wieku—niepojętem się to zdawało panie Adzie, że ojciec potrafił go tak z przedłużoną tą młodością zachować prostodusznym, nieświadomym świata... naiwnym, niemal dziecinnym. Ona, co miała czas, zawczasie dojrzawszy, przejść już przez wszystkie fazy niedowiarstwa



sceptycyzmu, obojętności, znudzenia, co się potrzebowało ratować przeciw przesytowi życia to podbudzającymi, to usmierzającymi duchowymi leki, zdumiona była świeżością tego umysłu i uczucia, spokojem tej duszy, zdrowiem tego umysłu i serca, niezwichniętego niczem...

Nie uszło to oczu zazdrosnych dworu panny Ady, że ten simplex servus Dei, jak się szydersko o nim wyrażał ks. kanonik — umiał sobie zaskarbić łaski tak wielkie... Klóciła się o to aż do zapalczywych gniewów i dąsów panna Hortensya, śmiała się z tego sarkatycznie ks. Otto, panna Ada zupełnie obojętnie znosiła i gniewy i szyderstwa, a nie odstręczało jej to wcale. Ruszano ramionami.

— To przejdzie! mówił kanonik narzekającej zawsze na tę, „lubie” pannie Hortensyi...

Tymczasem wcale to nie przechodziło. Ada wzięła na siebie dopełnienie umyślnie zaniedbanego wychowania Roberta. Zaczęła go w rozmowach najprzód pobudzać i zaostrzać ciekawość do nauki, do czytania, potem mu narzucać niemal książki.

Robert miał umysł otwarty. Pannie Adzie podobало się bardzo (jakby eksperyment fizyczny robiła) — śledzić w nim rozwijanie się myśli, wrażenia czytanych, rodzące się pojęcia. Śmiała się czasem z dziwnych wniosków, niektóre prostowała, niekiedy zdumiona była błyskami budzącej się inteligencji...

Chłopak, który wiedzony ręką tej troskliwej przewodniczki nowe zdobywał, w nowe wchodził światy — powziął ku niej jakąś cześć, wdzięczność, uczucie głębokie, niemal synowskie...

Gdziekolwiek się zrodzi podobne, jest w prawie natury, że im jest szersze i głębsze, tem pewniej obudza wzajemne. Ada macierzyńskiem jakimś sercem przywiązała się do niego... Nie kryła się z tem, że ją wielce interesował. Czasem za ucznia tego była dumna, — lecz dla niej była to zabawka, eksperyment tylko — roztargnienie może...



Major nie mylił się też wcale, uważając dom ten za niebezpieczny dla syna. — Wpływ tego towarzystwa zachwiał zupełnie dawnymi usposobieniami Roberta. . Gospodarstwo, konie, myśliwstwo znacznie dlań zobojętniały... Niekiedy po kilka godzin się zaczytywał i po całych dniach rozprawiał z panną Pretwiczówną. Nie zrażało go to nawet, że zarówno przyjaciel domu ks. kanonik, jak kuzynka pani, panna Hortensya, przyjmowali go zimno, niekiedy z dosyć jawnymi wstrętami... Nie narażał się im, było mu to zresztą obojętne..

Za krzywe wejrzenia i szorstkie czasem nanki ks. kanonika, płaciła nietylko dobroć pani samej, ale — może chciały przynajmniej zapłacić, rumieniające się co chwila lica panny Karoliny, która najniżej w świecie uczucia swej opiekunki dla pana Roberta podzielała...

Byli z nią w przyjaźni braterskiej. Karusia spoglądając nań oblewała się rumieńcami, podając mu rękę drżała, gdy była zmuszona rozpocząć z nim rozmowę, z radości słów jej brakło. Robert też okazywał jej serdeczne współczucie. Czasem nawet przykro mu było widzieć nadto snrowe z nią obchodzenie się Ady, która, jak Roberta wykrzesywała, tak Karusię prze-rabiać usiłowała z sensytywy na chłodniutką, rozumną istotę.

Z młodym Jazygą szło jako tako, ale Karusia — wypłakiwała oczy, a zmienić się nie umiała — co nie cierpliwio bardzo mistrzynię. Kochała ona ją, i dla tego właśnie usiłowała uzbroić do życia... przewidyjąc z tej czynności zbytnej najnieszczęśliwsze skutki.

Zasadą ciągle tu głoszona w Ruszkowie, którą i ks. kanonik Otto popierał jako życia regułę, było nie dać się rządzić uczuciom, iść za obowiązkiem, być panem siebie. Miłość, nienawiść, gniew były tu potężne, i panna Ada doskonały z siebie przykład dawała. Nie gniewało jej nigdy jawnie nic — z zimną

krwią karała przewinienia i uchybienia przeciw sobie. nie pornszając się wcale... Broniła się tak samo wszelkiej tkliwości zbytnej i przywiązaniu... Spełniała obowiązki dobroczynne, nie dając zadrgać sercu... Zawsze pani siebie, jednostajna, z pogodą na twarzy. pornszala się tylko, gdy ją albo kwestya sztuki, naukowa. lub polemika religijna dotknęła żywiej... I w tych razach, jak skoro poczuła się nieco wzruszoną, natychmiast starała równowagę odzyskać. Słowem był to wzór — niewiasty, jak Lotowa żona w słup obróconej, zastygłej, ale pięknej i wprawiającej w zdumienie...

Major u stołu siedział prawie milczący, na zapytania odpowiadał to pół uśmiechami, to pół słowy — nawet pułkownik i wino, które mu dolewał, nie mogli go rozchmurzyć. Gospodyni domu postrzegłszy to, z wielką zrećznością, nie zapominając o nim nadto, umiała mu zostawić swobodę dumania i milczenia...

Różne tymczasem myśli przewijały się po głowie Jazygi. Między innemi wyrzynał sobie bardzo, że postąpił porywczo i nietrafnie, nadto się wypowiadałszy przed pułkownikiem ze swego wstępu do tego domu i obawy o syna... Trudno to teraz było załatać. Zawczasem tylko obiecywał sobie major z synem być ostrożniejszy i nie wygadać się z tem przed nim, a użyć innych środków do odciągnięcia go od Ruszkowa.

Wiedział, że najgorszym sposobem oparcia się wpływowi takiemu, było jawne wystąpienie przeciwko niemu, które ku obronie i odporowi całe siły zgromadzić mogło. Lepiej było partyzancką, podjazdową wojną zwalczyć się starać nieprzyjaciela, niż wszystko ważyć na niepewne jednej bitwy losy.

Wśród tych rozmyślań majora, niekiedy nsmiechającego się, aby nie dać poznać co się w jego duszy działo — piękna gospodyni domu starała się gości swych zabawić.

Kanonik naprowadzony przez nią na najulubieńszy sobie przedmiot opowiadań o Rzymie — w tej chwili głosem stłumionym, słodkim, z dziwną płynnością wymowy, jakby nie raz pierwszy powtarzał rzecz na pamięć wyuczoną, opowiadał pannie Hortensyi o wielkości kopuły i dachu Świętego Piotra, o olbrzymich oknach czoła świątyni, przez których rozmiary ona się mniejszą wydaje... Panna Hortensya która już nieraz o tych oknach, o obelisku i o wodotryskach, i o gwardyi szwajcarskiej w średniowiecznych strojach, słyszała z ust kanonika — nastawiała jednak pilnego ucha, sznurując zbladłe usta...

Żał było pannie Adzie opuszczonego od wszystkich Mirosława, zapytała go ze współczuciem, czy karton postępuje?

— O! jeszcze wczoraj go podarłem w kawalki i spaliłem w piecu! odparł cicho Oblęcki i westchnął.

— Zawsze więc to samo! pokręcając główką odezwała się gospodyni.

— Tak już będzie ze mną do końca — dodał smutnie — a chyba i po końcu... Dano mi wieczne pragnienie — nie mogę się skarżyć, są co i tego nie mają.

— Ale bo pan jesteś zbyt surowy, grożąc odparła gospodyni. Artysta sam nie ma prawa być sędzią dzieła swojego. Dla czegoż nie chcesz nigdy ani dać spojrzeć?

Mirosław się zarumienił i gorączkowo poprawiając włosy, zakończył:

— Przepraszam panią — ojciec ma nad dziećciem prawo życia i śmierci... Nikt, nikt lepszym nie jest sędzią, niż twórca dzieła...

— Mylisz się pan: są po większej części zasłепieni artyści. Jedni zbyt swe dzieła miłują, drudzy... straciwszy przez pracę uczucie wartości ich -- znużeni, zbyt je lekko cenią..

Mirosław spnił na piersi głowę.

— Nie — mój karton, jak zwykle, nic nie był wart. Chwilę, zdawało mi się... byłem z części jego bardzo szczęśliwy... ale w końcu!! A! nie .

— Chciałbyś pan koniecznie stworzyć arcydzieło! z wymówką rzekła gospodyni.

— Tak jest! podchwycił artysta gorąco, podnosząc ku niej oczy błyszczące i jakby łzami zwilżone — tak jest. Mierności świat pełen cały, mierności i oklepane formy nas zalewają. Arcydzieło! nie — na to potrzeba Michała Anioła i Rafała, i chwili natchnienia, i Fornariny i Colonna może — i wieku XVI, i słońca nie naszego — ale — gdyby to choć była rzecz oryginalnie brzydka, szkaradna, choć samoistnie chybiona! Niestety! była to jedna z tych bitew jakich tysiące namalowali ci, co żadnej w życiu nie widzieli!! Jak ja!!

Spuścił głowę, rozmowa się przerwała, bo panna Ada zwróciła się już do Rubaczka, trochę umarszczywszy brew. Ton łagodny, jakim mówiła do Mirosława, zmienił się w zimniejszy, niemal surowy...

— A cóż ten Psalm? będę ja go kiedy miała ułożony jak prosiłam, na organ sole...?

Błada twarz muzyka trochę się zarumienila i załbelkotał niewyraźnie:

— Prawie gotów — przepiszę tylko...

Prawda, że piękny, że majestatyczny, że w swej prostocie więcej mówi niż wasza nowa muzyka przeładowana, która chce wszystko wypowiedzieć, a nic nie umie?

Rubaczek zaprotestował po cichu.

— Nasza!! — ale ja się do niej nie przyznaję...

— Przepraszam... masz pan słuszość — a cóż to sławione Requiem...?

— Doskonałe do przedstawienia w Operze... ale nie w kościele...

Rozśmiała się potakująco gospodyni i spojrzała na Musiatowskiego...

— Czytałeś pan nowe poezye Słowackiego? zapytała go szydersko. Nie znalazłam ich w bibliotece, i domysliłam się, że je wziąłeś.

— Odniosłem! wybelkotał sekretarz — leżą... Mówiąc to mimowolnie się zżymnął.

— Wielki poeta! na przekorę z uśmiechem dodała Ada.

Musiатовski spojrział okiem zaczerwienionem z oburzenia. krew mu biła do głowy...

Mruknął pod nosem:

— Pani nowej muzyki nie lubi i nie gustuje w niej — toś podobna poezya dla wirtuozów... Grają rymy i słowa... ale...

Ręką zamachnął, umilkł i do talerza powrócił.

Nie chcąc się z nim w dalszą wdawać rozprawę. zwróciła się Ada, po cichu coś szepcząc do panuy Karoliny. Sensytywa się oblała ponsowym rumieńcem... i widać było jak zadrżała cała. Przymuszony uśmiech łzawy przeleciał po jej ustach, nie odpowiedziała nic — kolej przyszła na pana Roberta, który z ojcem rozmawiał oczyma...

— Przeczytałeś pan Figuier'a, któremu panu dała? spytała go jakby egzaminowała studenta.

Robert głowę skłonił potakująco, a Ada obróciła się do majora...

— Syna panu bałamucę i od gospodarstwa i myślistwa odrywam — rzekła na pół figlarnie.

Major zarumieniał się niemal jak pauna Korolina, tylko że był opalony, mniej to było widoczne...

— Pani dobrodziejko... wybąknął nie chcąc dziękować, nie śmiejąc się opierać i tłumaczyć. Dopiero po chwili zebrał się na nieśmiałą odpowiedź, na którą Ada się oczekiwać zdawała.

— Nie chciałem syna mojego uczynić uczonym. Człowiek się tak na książkach rozpija, jak na wódce... Słowo daje. Dosyć mu przy katechizmie mieć otwartą głowę.

Dosłyszawszy to ks. Otto, przerwał opowiadanie o Rzymie, nastawił ncha i nie mógł się powstrzymać, aby się nie wniessał do rozmowy.

— Jakże mnie niewymownie cieszy — rzekł wśród powszechnego milczenia, — że słyszę z ust szanownego majora zdanie tak zdrowe, któreby złotemi głoskami należało wypisać tam, gdzie je najwięcej ojców i młodzieży czytać może... Tak jest — uczyłość ani do zbawienia, ani do szczęścia ziemskiego nie jest potrzebna. Często się staje zawadą do obojga...

Major skłonił głowę; gospodyni domu, mimo głębokiego szacunku dla księdza kanonika, dziwnie stała zacięła.

— Ksiądz prałat pozwoli — rzekła — że ja po kobiecemu trochę, nieśmiało zaprotestuję... Kościół zawsze szerzył oświatę, on ją rozlał po świecie — od niego mamy wskrzeszone nauki — on związał tradycje pogańskiego świata z nauką Chrystusa... Kościół...

Kanonik przybrał nroczytą, niemal groźną minę, popatrzył z nateżeniem na gospodynię, oczyma wyrażając jakby zdumienie wielkie z danego zgorzelenia...

— I kościół też dalej chce przewodniczyć oświacie nauce, aby za granice jej zakresłone nie przeszła — rzekł zimno, głosem wyroczni, z widocznem wymaganem, aby się na tem niewłaściwy spór zakończył.

Jakoż gospodyni podkreśliwszy główką, minke nastroiła jakąś na pół posłuszną, pół zbuntowaną i zamysłoną — zamilkła...

Pułkownik, który dotąd się nie odzywał, i na intencję majora pół głosem dodał...

— Kochany Robert umie wszystko pogodzić, bo to i gospodarz co się zowie, i myśliwy doskonały, i do książek rwie się, a pamięć ma... niech pani nasza dobrodziejka poświadczy.

Rumieniec przeszedł teraz na twarz pochwalonego Roberta, a Ada obracając się do majora, poczęła z cicha:

— W istocie — nieraz się musiałam zdumieć nadzwyczajnej pamięci pana Roberta... nawet w takich rzeczach, które mało go mogły interesować...

Jazyga stary ciągle uśmiechami odpowiadał. Kanonik dalej prowadził opowiadanie o Rzymie, a Rubaczek po cichu jątrzył i drażnił Mirosława konceptami, których nikt nie słyszał. prócz umęczonego przezeń malarza. Ten zaś tak był nawykły do zaczepiek i obojętny na nie, iż mu one najmniejszego nie czyniły wrażenia...

— Ten obiad chyba się nigdy nie skończy — odezwiała się z cicha panna Karolina do Roberta. Nie znajdziesz go pan nieznosnie długim?...

— A! ja—nie—szepnął Robert.—Proszę pani, mam tak miłą sąsiadkę—(tu rumieniec wypłynął znowu).—naprzeciw widzę ojca, któremu tak dawno pragnął. i w dodatku chwałą mnie jeszcze...

— To właśnie najprzykrzejsze... — szepnęła Sensytywa...—to okropne... Gdy ganią i lają, można płakać przynajmniej. a za pochwały — wstydić się trzeba i... męczyć.

Robert spojrzał ku niej... Siedziała biedna zmęczona. nie wiedząc w którą stronę się zwrócić... Na Adę, która ciągle ją musztrowała. nie mogła. na pannę Hortensję. której wzrok przebijał ją i ranił. nie śmiała, na mężczyzn nie miała zwyczaju... Kanonika się obawiała... Patrzała na talerz biedna...

— A! jak gorąco!—szepnęła cicho...

Obiad powolnie podawany. a z zasady, ciągnął się w istocie długo, lecz nareszcie wety się zbliżały. Powiedzielismy: z zasady. gdyż gospodyni domu i w tem miała pewne higieniczne wyrachowania i stałe prawa... Stół podlegał systematowi pewnemu... Nie przyznawała się do tego. że jeść lubiła smaczno... Posty zachowywano surowo i to w oczach kanonika okupowało wymysły i delikatesy. które jadł i on. nie wiedząc pewnie czem się żywi. Dla niego było to obo-



jętnem... Zbyt był zaprzątnięty ważniejszymi sprawami. aby go odzwianie się obchodziło...

Panna Hortensya tylko, która szukała pretekstów do sporu z kochaną kuzynką. i z tego stołu wytwornego robiła jej grzech wielki. Kilka razy na przekorę usiłowała kanonika wciągnąć w tę polemikę gastronomiczną. będąc pewna, że będzie ją popierał.

Ks. Otto zmilczał i odmówił mieszania się w rzecz błahą. Miał on wiele pobłażania dla słabości panny Ady. i więcej jej pozwalał niż innym penitentom... Miał zapewne słuszne ku temu pobudki...

Panna Hortensya tak tej, jak innych powolności kanonika zrozumieć nie mogła. miała mu je prawie za złe—lecz pokłócona ze wszystkimi na świecie. narażania mu się unikała...

Obiad skończył się szczęściem dla panny Karoliny, i krzesła ruszyły się nareszcie, czemu i major był niezmiernie rad, gdyż miał zamiar zaraz po kawie wymknąć się nieznacznie. choćby na pułkownika nie czekając, na syna skinąć i z nim razem uciekać do Zahajów.

Rachował na to. że pułkownik będzie zajęty gośćmi. ale ten go z oka nie spuszczał. a gospodyni również pilno śledziła każdy ruch jego. Nie mogła sobie wytłómaczyć kwaśnego i skłopotanego wyrazu twarzy majora. który ją nieco niepokoił. Przechodzono do bawialnego salonu. zład na czarną kawę miano się udać pod werandę. z zimowego ogrodu zrobioną przed domem. gdy Brandys. jakby dla ubezpieczenia się. że mu przyjaciel nie uciecze, wziął go pod rękę...

— Pod werandą u nas się pali. Jest to dozwolone—rzekł—mam doskonałe cygara...

Major błagająco nań wejrzał...

Ale ja muszę do Zahajów.

Co za mns! syna przecież tu masz! Ja cie nie pnszczę... Czasu dosyć... dzień długi...

— Ale...



— Chodź—powtórzył pułkownik...

Wszyscy szli pod ten namiot. w którym podano już kawę i likwory... Gospodyni sama zbliżyła się do Jazygi, prosząc go. aby cygaro palił. i zapewniając, że zapach ten bardzo lubi...

Skinęła w tem na Roberta. który posłuszny poszedł za nią natychmiast. a za nią powlokły się oczy strapionego ojca...

— Czy ojciec pański zawsze jest tak milczący i... smutny?—pytała go Ada.

— Al nie—odparł Robert—ale mi się zdaje, że bardzo odwykł od towarzystwa... zasiedział się w samotności...

— Tak. to być może — żywo dodała gospodyni — człowiek robi sobie bardzo łatwo nałogi ze wszystkiego... Samotność jest rzeczą miłą, ale niebezpieczną. Bez ludzi żyć nie można i nie godzi się...

Robert słuchał z jakimś namaszczeniem.

— Długo tu major zabawi?—pytała.

— Ja nic nie wiem jeszcze—rzekł Robert.

— Radabym go mieć u siebie przed wyjazdem... Pułkownik mój pocziwy odżywi się wspomnieniami. Popatrzyła na wychowancę swego piękna pani.

— Nie chcę pana buntować przeciwko władzy rodzicielskiej — odezwała się z uśmiechem — lecz, jako dobrze panu życząca... przyjaciółka... chcę go przestrzedz. abyś zbyt à la lettre nie brał troskliwych przestróg majora... On byłby rad z pana Roberta. nie mogąc żołnierza. zrobić hreczkosieja, myśliwca i—próżniaka! Jest to rodzaj pieśczęty! Ja to rozumiem... ale się pan nie pieść. Pracuj!

Robert jasnym okiem spojrzął ku niej. Było w tem wejrzeniu tyle poszanowania. uwielbienia prawie. iż piękna pani tem śmieiej ciągnęła dalej.

— Mnie pana szkoda na takie zadomowienie. Doprawdy. choćbym go trochę pobuntowała, na sumieniu mieć nie będę. Ojciec czyni to w najlepszej wierze

i intencji... z miłości wielkiej... ale nie ma słuszności...

Nie gniewaj się pan, że przeciw niemu mówię... obowiązkiem człowieka jest kształcić się, oświecać, podnosić, uczyć, pracować — choćby cierpieć, a starać się wzlecieć wysoko...

Szanuję bardzo ks. kanonika... Naturalnie, publicznie, u stołu nie mógł się inaczej odezwać; ale on sam przecie uczonym jest głęboko i naukę cenić umie...

Robert słuchał jak student... Z dala patrzący na cichą rozmowę tę z synem swym, major bladł i cygaro rozgryzał, żuł, gasił, tak go ona zdawała się niepokoić.

— A! pani—odezwał się w końcu Robert—z jej ust każde słowo...

Ada się uśmiechnęła...

— Cóż znów! komplement! gdy ja mówię tak seryo, z obowiązku...

— Nie komplement—zapał się Robert.—a! doprawdy — nie... Ja pani już tyle winienem, tak mi się otwarły oczy, tyle zajmujących widoków, na które byłem ślepy, stanęło teraz przedemną... Jestem taki szczęśliwy!

Gospodyni spojrzała nań, mierząc go oczyma zinnemi, w których jednak coś jakby niepokój się ukrywał...

— Wierz mi, panie Robercie, że ja panu dobrze życzę...

Powiedziała to też chłodno, i jakby przypomniawszy sobie, że ta rozmowa na uboczu może ojcu być zagadkową, skinęła na Roberta, aby z nią razem podszedł ku niemu.

— Prosiłam syna pańskiego, i wymogłam na nim słowo — rzekła. — że mi tu pana majora przywiezie...

— Ja, pani dobrodziejko—przebąknął węża kręcąc Jazyga—ja bo rychło bardzo muszę powracać do domu... Gospodarstwo...

— Nie uciecze—przerwała gospodyni.... Wiesz pan, panie majorze, że my jesteśmy z sobą skoligaceni...? O! ja bardzo lubię genealogie familijne i znam swoją na pamięć.

Major spojrzał oczyma zdziwionemi.

— Tak jest — powiem panu zaraz... Matka moja z domu była Boguszanka, a rodziła się z kniaziowuy O.... z której siostry urodzona jest żona pańska. Wiesz pan, że nie daremnie roszczę sobie pewne prawa do jego życzliwości...

Major był całkowicie tem—jak później mówił—z siodła wysadzony. Począł coś bełkotać niezrozumiałego. Ada mówiła spokojnie...

— Przyjedziecie panowie do mnie na obiad z synem we środę — nie znoszę sprzeciwiania się. jestem uparta... Podala rękę majorowi, który jeszcze nie mogąc przyjść do siebie, scisnął ją już nic nie odpowiadając... A że cygaro mu zagasło wśród tych tarapatów, które przebywał, skinęła gospodyni na pułkownika, aby koledze ogniem się przysłużył...

W ciągu czarnej kawy towarzystwo się znacznie zmniejszyło,—niekiel najprzód Musiatowski do ogrodu i tam, sam z sobą, w ulicy chodząc, rozmawiał i śmiał się. Rubaczek wymknął się do oficyu także: został tylko Mirosław Obłęcki, który już dobrze nie wiedział gdzie był i myślał o jakimś kartonie.

Z dała panna Karolina, kryjąc się w cień, rzuciła oczyma niesmiały mi po towarzystwie, a wylekniony jej wzrok zatrzymał się czasami na Mirosławie, na Adzie. Zdawało się, że chce odgadnąć o czem mówili z sobą.

Na boku, z widocznie znudzonym twarzą wyrazem, ks kanonik Otto skazywał na towarzystwo panny Hortensyi, znosił je z religijną kategorycją. Zasypywała go pytaniami, zarówno pragnąc pozyskać, jak

pochwalić się z tém. iż była przez niego zaszczycona długą i poufną rozmową.

Zbliżyła się nareszcie ku niemu. spoglądając krzywo, złośliwie na kuzynkę, w czasie gdy z młodym Jazygą rozmawiała.

— Uważa ks. prałat. jaką nasza kochana Ada zawsze ma słabość dla tego młodego... przepraszam. drągała...

Ruszyła ramionami.

— Jest to dla mnie niewytłómaczone: —kobieta tak wyształcona, tak rozumną, a to chłopak nieokrzesany. prosty... bez manieri nawet i z dziwnie zaniedbanem wychowaniem.

Ks. Otto pomyślał chwile. uśmiechnął się niby łagodnie.

— Ja się temu nie dziwię—rzekł. — Zaczna nasza panna Ada spełnia gorliwie tę missyę, na którą się skazała, być wszędzie i dla wszystkich przewodniczką. mistrzynią, zapominając tylko o sobie. Właśnie dla tego, że to chłopak zaniedbany...

— Ale ma słabość — *je vous donne* ma *parole*, — ma do niego śmieszłą słabość — dodała Hortensya. Zwracałam nieraz na to jej uwagę, mając to sobie za obowiązek. Ode mnie ona nic nie przyjmie. Zbыва milczeniem. Ks. prałat powinienby ją uczynić ostrożną. Chłopak młody.. najniewinniej może mu się zawrócić głowa...

— O! o! o! — rzekł ks. kanonik — tak dalece znowu! nie sadze. Znasz pani najlepiej swą kuzynkę. Ma ona oko przenikliwe. samaby najprzód dojrzała niebezpieczeństwa... To jej sprawia roztargnienie.. dac trzeba pokój...

— Niech i tak będzie — poddaje się wyrokowi ks. prałata—niby wesoło i obojętnie odpowiedziała panna Hortensya:—co do mnie... nie wydaje mi się to zajęcie ani przyzwoitem. ani potrzebnem. ani pożytecznem... Z tego chłopaka nic nigdy nie będzie. *Entre nous*

s o i t d i t. głupowaty jest. ograniczony- naiwny jak dziecko.

— Może właśnie zacna nasza Ada chce w nim rozbudzić intelligencyę. trochę zawsze szydersko rzekł ks. prałat, tak, że wyrazy jego dwoiscie mogła tłómaczyć słuchająca.

— Może, ale to stracone zachody — odrzekła panna Hortensya. W jego wieku już się nic nie budzi oprócz namiętności, które najprędzej poruszyć można. nie mając wcale zamiarn. Na to przecie rozumna Ada winuaby zwrócić baczenie. Ale, że sama jest zimna jak lód, zdaje jej się ..

Nie dokończyła; ks. Otto oglądał się poważnie. spoglądając to na gospodynię, to na mówiącą.

- Tego chłodu, który jej pani zarzucasz — rzekł. — winszować należy w jej położeniu. Jest to prawdziwa g r a t i a s t a t u s - i poprawił się zaraz prałat tłómaczeniem francuzkiem — a panna Hortensya pośpieszyła mu przerwać:

— Rozumiem ..

Cichym szeptem dokończyła coś jeszcze uśmiechając się złośliwie stara panna, a prałatowi mimowolnie także nst i się do nśmiechu skrzywiły. Westchnął.

Jestem o nią spokojny — dodał — cel jej życia wyższy zabezpiecza ją od wielu grożących innych ostateczności. Ten cel ma zawsze na sercu... Niepodobna zresztą wymagać. aby jakiejś w życiu nie szukała rozrywki...

— A! ma ich aż nadto moja kochana Ada. — rzekła. śmiejąc się kuzynka. Czyż nie dosyć jej tego pół-waryata malarza, który nigdy nie ani narysować, ani odmalować nie potrafi? Ma muzyka, którego npiera się trzymać, choć tylko zgorszenie daje we dworze: a na ostatku i monomana tego Musiatowskiego. Dołożysz jeszcze sensytywę i — mnie, bo muszę się zaliczyć do orszaku królowej. czyżby już tego nie stało?

Zwróciła oczy na ks. prałata, który milczał, bawiąc się frenzlami swojego czarnego pasa...

Zbliżyła się potem znowu ku uchu księdza kanonika..

— Ta biedna Karusia... niech ks. prałat spojrzy. jak oczkiem goni to za pięknym Robertem. to za Mirosławem... Albo się bardzo mylę, albo i ona jest jego lalkowatą pięknoscią zachwycona. Ile razy do niej przemówi. rumieni się. mało jej krew nie trysnie z twarzy.

O! toby było daleko prawdopodobniejsze i niebezpieczniejsze nad interesowanie się nim naszej drogiej pani—odparł kanonik...

— No — ja za nic nie ręczę! — tajemniczo palec kładąc na ustach dokończyła panna Hortensya...

Gdy się ta rozmowa toczyła, major nareszcie zebrał się na odwagę pożegnania gospodyni, która go raz jeszcze zaprosiła najuprzejmiej na obiad, razem z synem. Usłyszawszy to panna Hortensya, wyraziste spojrzenie skierowała na księdza — jak gdyby mu powiedzieć chciała: — A cóż? nie mówiłam. — Ks. Otto wstał, z daleka się kłaniając. Żegnali się wszyscy. Panna Karolina z dala, spłoszona, ukłonem prędkim i niezręcznym oddała pożegnanie Robertowi...

Major z synem i pułkownikiem zszedł wprost z ganku tąż samą drogą, którą się tu dostał z folwarku. pospieszając napowrot. Dobywszy się na powietrze — z tego towarzystwa. które mu ciążyło i było nieznośnem.—odetchnął wolniej; twarz mu się aż rozpogodziła.

— Robercie—rzekł na ucho—jadę do ciebie — każ konie zaprzęgać... potrzebuję spocząć... Jedźmy zaraz...

Robert żwawo przodem pośpieszył, aby spełnić ojca rozkazy.

Wioska Zahaje, granicząca z Ruszkowem. należała do pana Wrotyńskiego, jednego z tych magnatów, których imienia przed laty kilkudziesięciu nikt nie słyszał. bo naówczas ojciec jeszcze skromną nader rozpoczynał karierę, która mu miała dać ogromną fortunę. Stary Wrotyński, oficyalista najprzód, potem dzierżawca, przedsiębiorca, handlarz, podradowicz — gdy raz począł grosz robić i dobił się początkowych kilkudziesiąt tysięcy. na coraz większą skalę obracając niemi, doszedł do kolosalnej fortuny. Syn był jednak i — wzorem wielu innych, przedzierzgnąwszy się na pana. powoli tracił to. co ojciec zarabiał w pocie czoła. Nie gospodarował już sam wcale. w interesa się nie wdawał. trzymał drogiego plenipotentą. majątki puszczone były dzierżawą, a p. Wrotyński, należący już do najwykwintniejszego świata. pracowicie zacieierał ślady pochodzenia skromnego, tworzył sobie genealogię i pilno się starał ożenić z mitrą jaką, ażeby otrzymać prawo obywatelstwa w tych sferach. do których już *de facto* należał...

Zahaje tym sposobem dostały się na lat dwanaście panu Robertowi Jazydze. Był to majątek najprzód fundamentalnie zrujnowany. gdy stary Wrotyński kupił go za bezcen. potem nieco podłatany, puszczone dzierżawą, i naostatek dźwignięty już przez młodego, dzielnego pana Roberta...

Warunki gospodarskie złe nie były — coś na tem zrobić się dawało, lecz chyba kawaler mógł tu zniesć pobyt... który wcale nie był przyjemny. Nad tem stary Jazyga. ani młody nie myślał wiele. Młodemu człowiekowi, aby dach, aby kąć, aby warsztat do pracy...

Od lat wielu nikt tu nie mieszkał oprócz ekonomów; rodzaj chaty czy nędznego dworku. składał całe pomieszkanie dzierżawcy. Zabudowania były w najnędzniejszym stanie. Wrotyńscy żadnych na to na-



kładów czynić nie chcieli. Robert musiał popodpierać. połatać. gdzie zaciekało poprzykrywać i biedę klepać dalej. Dworek pokryto gontami. pobielono, umyto. okna nowe wstawiono, ogródek oczyszczono nieco z chwastów .. i—żyć było jużćie można.

Lecz. żyło się bardzo po kawalersku... Jedna izba trochę większa była od rzadkich gości. Nie przyjeżdżało tu ich też wiele. Czasem zawitał pułkownik na chwilę, czasem który sąsiad od drugiej strony. pan Zarznięcki lub Posepalski. Robert nie szukał towarzystwa, a to, które miał. starczyło mu.. Najlepiej lubił jeździć do Ruskowa .. i z tem się nie tał. Mówiono nań z przekąsem, że na panicza chorować zaczyna. Doszło go to, bo mu wąsaty weredyk Zarznięcki wręcz powiedział. Robert śmiejąc się uściśkał go—nie wzięwszy do serca.

Nad wieczór już. a wieczór był wiosenny tak cudowny. że nawet w Zahajach, przy spiewie słowików i kwitnących czeremchach, wesoło było i miło.—dojechali ojciec i syn. milczący w czasie drogi. do dworku.

Tu Robert zeskoczył pierwszy z bryczki, odkrył głowę i z poszanowaniem ojca powitawszy. poprowadził go do—swej chaty..

Major posepny. jeszcze wydychać nie mógł Ruskowa, i ściskając syna z czułością. przemyslał tylko jak mu tu. ostrożnie. bacznie. rozumnie — dać antidotum przeciw wpływom tego dworu panny Ady.

Oprócz innych wstrętów i obaw, major przypatrzwszy się składowi osób, stanowiących otoczenie panny Pretwiczówny — oburzał się w duchu na rolę. jaką syn miał grać wśród tych kaleków. i zbieranej z całego świata drużyny fantastycznych rezydentów.

Nie podobało mu się tu wszystko i wszyscy z wyjątkiem jednego może pułkownika, a i tego znajdował zmienionym na niekorzyść. spętanym niewol-

nikiem. Fizyognomia i postawa ks. prałata przypominała mu jakiegoś tradycyjnego jezuity... ten postach wolnomysłnych... panna Hortensya wydała mu się złośliwą i przewrotną intrygantką. jaką była w istocie. — Musiatowski pół waryatem. malarz upodleganym umysłowo. muzyk włóczęgą... Nawet panna Karolina niepokoiła go swemi rmmieńcami — i nieśmiałością. Bał się i tej dla syna... lękał się w ogóle atmosfery, nałogu oddychania nią, dworactwa upokarzającego...

• Wolałby był i łącniej przebaczył największą niedorzeczność młodzieńczą Robertowi. niż to rozmówlanie się we dworze starej panny...

Robert nie tylko się nie domyslał tych w ojcu nsposobień, ale był najpewniejszym. że mu pochwali jego postępowanie; dumny był łaską panny Ady. spodziewał się, iż ojciec za tryumf to będzie uważał. W istocie dla niego, prostaczka, była to idealna kobieta. coś tak wspaniałego, wielkiego. doskonałego. iż się ku niej z trwogą i drżeniem zbliżać należało. Nigdy się nie domyslał. iżby go upokarzać mogło to. że się do jej zaciągnął orszaku... Czekał nawet przez całą drogę tego ojcowskiego słowa. a milczenie przypisał zużeniu i — przytomności sług... Szymka i Iwasia... Ale żeby też jedno słowo rzekł major o rozumie pani. o piękności, o jej uprzejmności i dobroci... Zdziwiło go, że milczał tak uparcie. Postanowił czekać, nie wywołując...

Przyjechawszy do Zahajów, major począł od rozglądania się w synowskiem gospodarstwie. Prosto z bryczki poszli patrzeć jak Robert wszystko poprawiał niewielkim kosztem. jak utrzymać umiał w porządku. Major zajrzał do stajni, do obory, do owczarni — i cieszył się niezmiernie. sciskając syna przy każdej podanej zręczności...

Robert był uradowany, bo mu pochwała ojca stała za największą w świecie nagrodę... Tymczasem przygotowywano skromną wieczerzę. i gdy po małej

wycieczce ku bliższym polom, żeby zobaczyć pszenicę, wrócili do chaty, gdzie już Iwaś z pomocą miejscowego Wojtka do stołu nakrył... krupniczek z półgęską przyniesiono.

Zapach jego rozradował majora.. Po wódce znówu syna uściśnął, zasiadając do fajansowego talerza prostego, z którego owa polewka się kurzyła...

— Otoż to mi kuchnia! to mi życie! — zawołał wesolo major. — Wierzaj mi. Robciu — po dniu pracy. krupnik swój własny, na prostej misce — to stokroć lepsze, zdrowsze, smaczniejsze, niż pulpety magnatów, ich wykwintny stół, który gębę psuje, ich grymasy nieszczerze i wszystkie te formy komedyanckie, które mi się oni na okpiwanie świata przybierają!

Na ten wykrzykunik, Robert zdumiony, milczeniem tylko odpowiedział.

Major ciągnął dalej:

— Powiem ci szczerze, że się zmęczył straszliwie tem łaskawem przyjęciem waszej heroiny! Pułkownikowi tego darować nie mogę, że mnie na to naraził! A mnie to po co? na co? po jakiego licha? Ja z tem ich światem dawno rozbrał wziętem. i wracać donie myślę.

Spojrzał na syna, który z wolna jadł swój krupnik. i z n wagą wielką ojcu patrzył w oczy. — odezwać się nie śmiejąc. Ojciec też dlań był wyrocznią, nawykł go słuchać przez miłość. a czuł zawsze taką wyższość nad sobą, że sprzeciwić mu się miałby był za zbrodnię

Tym razem wyrazy ojcowskie dziwnie przykro mu zabrzmiały w uszach, zmartwiły go. Pomyślał w duchu, że ojciec w zasadzie, jak zawsze tak i teraz, słuszność mieć musi — ależ w tym świecie zepsutym, który wyklinał, panna Ada była wyjątkiem. Nosila może jego kajdany — nie było to jej winą. — umysłem przechodziła o wiele istoty składające te sfery... Radby był, choć nieśmiało, powiedzieć myśl tę ojcu — ale — jak tu do tego przystąpić było?

Major tymczasem, gdy mu się raz usta otworzyły, ciągnął dalej:

— Dla waszeci, panie Robercie, to jest do kaduka uciążliwe sąsiedztwo..

— A! proszę ojca!—rozmiał się Robert - dla mnie to dom bardzo przyjemny.

— Przyjemny? przyjemny?—podchwycił major ale wstydz się! Co tam być może miłego!... Panna, nie przeczę, rozumną być może bardzo, ale też widać i zarozumiałą. Gra sobie rolę królowej *au petit pied*! A dwór! z wyjątkiem pułkownika, który mi wygląda jak lew, co mu obcięto pazury - dwór! A toć szpital waryatów..

Robert aż pobladł -zle mu się i przykro zrobiło. łyżkę położył na talerzu, ręce skrzyżował na piersi. Wystąpienie ojcowskie było tak stanowcze, decydujące, że pocziwemu dziecku przeciw niemu walczyć zdawało się niepodobieństwem—posmutniał.

Major postrzegł się że znowu bodaj za porywczco i za daleko zaszedł, i pogniewał się sam na siebie: uśmiechem więc łagodnym pokrywając co czuł, dodał:

— Żal mi pocziwego pułkownika - no—i ciebie... Ty tam słyszę często bywasz?

Zarumienił się Robert.

— W istocie, panna Ada na mnie bardzo łaskawa.. bywam często i jestem przekonany, że gdyby kochany ojciec zbliżył się, chciał wejrzeć—przekonałby się, iż wszystko to w Ruskowie daleko lepsze, niż się na pierwszy rzut oka wydaje.

Major usta wykrzywił, chleba solonego mocno ngryzł kawał i głową trząsł jedząc.

— A! wy, młodzi—rzekł miarkując się wy młodzi, aby wam dystrakcja... Może też i ładny buziak tej rumieniejącej się panienki, co się za słup chowała.

— Ale! nie! nie! — przerwał Robert bynajmniej niezmiuszany, co było najlepszym dowodem, że się nie poczuwał do winy—ale... nie!

— Panna ładna! — wtrącił major...

— I bardzo dobra, miła panienka — rzekł obojętnie Robert — przecież ja się nie zadurzę tak łatwo. .

— A! mój Robciu — zawołał ojciec — zakochaj się w poczciwej, ładnej dziewczynie naszego stanu i obyczaju, choćby grosza nie miała, nie powiem ci nic — pobłogosławię. Może nawetby czas o gnieździe pomysleć.

— O! proszę ojca! czego się mam śpieszyć? mnie nie pilno — odparł Robert żywo. Przyznaję się kochanemu ojcu, do płochych miłostek nie jestem skłonny, a od towarzyszki życia — całego życia — wymagam wiele. Powiedziałem sobie, że się nie ożenię, nie znalazłszy czego pragnę.

Major wesał pokreślił — posmutniał. Spojrzał na syna.

— Już cię gwałtem żenić nie myślę, — rzekł — lecz gdyby ci się co trafiło, zawczasu sobie projektowałem zamienić się z tobą i siąść tu na dzierżawie w Zahajach, a tobie oddać dziedziczne Żabliszki... Tu z żoną nie ma sposobu w tej chacie mieszkać...

— Ale też o żonie nie ma mowy! — rzekł trochę smutno Robert.

Jakiś czas milczeli. Iwaś przyniósł zrazy z buraczkami, — wzięli się do jedzenia. Gospodarz ojcu wina dolewał, major pił, smakowało mu wszystko.

Powiaдам ci, że nie ma jak ta nasza dostatnia kuchnia szlachecka... Nie trzeba sobie tylko gęby psuć na francuzkiej...

— Ja nie bardzo zważam co jem — odezwał się Robert roztargniony.

— Wam młodym jeszcze wszystko smakuje, mówił major — tak samo i z towarzystwem... Niestety! my starzy, nauczani doświadczeniem, cosiny i od niejednej potrawy i od niejednego człowieka mieli niestrawność, strzeżemy się... tego co zdradziło!

Westchnął.

Po krótkiem milczeniu Robert nabral odwagi i bąknął:

— Przyznam się ojcu. zem był pewien prawie, iż mu się Rusków podoba, a na nieszczęście widzę, stało się przeciwnie??

— Ale ty powinienes był z góry wiedzieć mój drogi — odparł major — że mi się nic co smierdzi państwem podobać nie może. Słyszałeś przecie co miałem do przecierpienia z pańską rodziną twojej świętej. anielskiej matki. Odtąd między niemi a mną obrus rozrznięty...

— Są przecie wyjątki—szepnął Robert.

— Wcę ich nie szukać i nie rachować na nic. Na loteryę nie stawiam nigdy — zawołał major. — a z dobrego serca ojcowskiego życzyłbym ci też na wyjątki w życiu nie rachować nigdy—jak ja...

Zmilkzał Robert. Był to koniec wieczery, przepraszać zaczął. że na prędce więcej zrobić nie umiano, i z szafy podał deser skromny...

— Jabył się był wysmienicie krupnikiem kontentował—rozśmiał się major, klepiąc po ramieniu syna. Dajże ty mi pokój.

Deseru nie chcąc jeść, zapalił stary Jazyga cygaro. a że wieczór wiosenny był śliczny. słowiki spiewały, w powietrzu unosiła się ta woń naszej wioski, jaką z dna w świecie wiosna już dziś równać się nie może.. wyszli się na ławkę przed dworek... Cisza tego skromnego zakątka. w istocie dnia tego zdawała się przychodzić w pomoc argumentowi majora za miernością za szlachecką zagrodą ubogą.

Nie mogło nie być mniemu ponurym nad Zahaję... i tu przecie pewne chwile i dni miały urok niewypowiedziany —urok i złudzenie tego pokoju. którego dusza ludzka tak pragnie łakomie. bo nigdzie go znaleźć nie może... Zmierzchało dobrze.. oba napawali się tą ciszą. ale—jak to bywa na świecie. gdy się tego czego używa z rozkoszą. pewnie co wytraci czarę. Na drodze Robert z przykrością posłyszał brzęczenie

nprzeży i turkot wózka... był prawie pewien, że chyba do niego ktoś w tej spóźnionej i niewłaściwej porze podąży. Lecz—któżby to mógł być taki?...

Zmarszczył się i major.

— Co u licha gość po nocy?

— Nie rozumiem — odpowiedział, wstając gospodarz—i postąpił kroków kilka.

W istocie bryczka się zatrzymała u zamkniętych wrót, i nim je otwarto, mężczyzna z niej wysiadł, z fajeczką w ustach.

Był to sąsiad Zarznicki.

— Przepraszam, jak Boga mego kocham, że nie w porę, jak piła w kredę tu włożę, — ale, słowo daję, pana Roberta nigdy w domu, wiecznie w Ruskowie. Kiedy człek przyjedzie, spyta: gdzie pan? W Ruskowie. Dokąd pan pojechał? Do Ruskowa. Więc mając interes, choć po nocy przybyłem, aby raz zastać. Myślę sobie: toć może u pauny Pretwiczówny nie nocuje.

Począł się Zarznicki śmiać z konceptu. Robert stał zaczerwieniony i pomieszany; major się ruszył z ławy, rad, że mu może przybędzie pomocnik do obalania murów tej twierdzy, której syn bronił.

Robert przedstawił ojcu gościa...

Szlachcie wąsaty, przysadzisty, szeroki w plecach i w ogóle z brzuchem dobrym, zażywny, z twarzą, na której więcej było brodawek niż charakteru, przygnał zaraz do majora, z sympatyą jaką u nas wszyscy mieli dla wojskowych, zwłaszcza starego automentu.

— O! my pana majora dobrodzieju — jak Boga kocham — znany! znany! Szczycimy się nim. Jestem prawdziwie szczęśliwy, iż mam ten... honor... że dziś... mogę... to jest... zaszczycony. .

Splątał się z wielkiego wzruszenia Zarznicki, ale rękę majora tak ścisnął... iż stary aż syknął...

Siedli na ławce, kazano robić herbatę... Zarznicki potrzebował się wy tłumaczyć, iż tak napadł na



pana Roberta, w niebytności jego, ojca za to przeproszał.

— A, nie ma za co — odparł major — przyznani się acanu dobrodziejowi. choć przy pierwszej znajomości. że ja w ogóle panów i pańskich dworów nie lubię. Panowie mi kością w gardle siedli. Mój syn to tam dla mojego pułkownika, kolegi bywa...

— Ale—ale! — rzekł poufale. także nie zważając na pierwszą znajomość i klepiąc go po kolanie Zarznicki — młodemu, mosanie, pachnie zawsze spódniczka... Panny są ładne...

— On do tego nie skory—rzekł ojciec.

— Z cicha pęk! — rozśmiał się Zarznicki — jak to może być... Skończenie świata by nastąpiło. gdyby młodzi obojętni się stali dla kobiet!! Ja w to nie wierzę...

— I panny w Ruskowie tak znowu mi się nie wydają niebezpieczne—rzekł major.

— Ja je tam mało znam, wysokie progi na moje nogi — odezwał się Zarznicki. za pozwoleniem majora, fajkę nakładając z jego kapcincha. — widuję z daleka tylko: ale królowa sama—bo my ją tu nazywamy królową—co się zowie kobieta... Panna kuzynka... jak różyczka: tylko ten dyabeł panna Hortensya—jak grzech śmiertelny...

Miał ten zły zwyczaj Zarznicki, że się sam zawsze pierwszy śmiał ze swoich conceptów, i teraz wybuchnął. major mu dopomógł. Tymczasem i Robert powrócił.

Rachując na pomoc sąsiada. major rad był rozmowę naprowadzić na Ruszków, bo ciągle miał na sercu. aby do niego syna zniechęcić. Odezwał się więc:

— A my tu o paniach ruszkowskich gadamy...

— Ja chwale! chwale — zawołał Zarznicki—piękne panny z wyjątkiem panny Hortensyi, bo tę ekscypuje, i zrzekam się jej na rzecz ks. kanonika Ottona...

Znowu tedy śmiał się serdecznie sąsiad. Rober-

towi rozmowa ta niemiłą była, więc stał milczący, i ani śmiechowi, ani jej nie dopomagał.

Zarznicki nań spoglądał badająco.

— Panowie byli dziś w Ruszkowie?— spytał.

— Al byliśmy — odezwał się major. — Ja zjechałem do starego kolegi, i wciągnięto mnie do pałacu.

— Bo, nie można powiedzieć — przerwał szlachcic, trzeba oddać sprawiedliwość pannie Pretwiczównie, wielka pani, sawantka, arystokratka, ale nie jest dumna i każdego przyjmuje grzecznie.. Tylko to ta jej uprzejmość królewska, mospanie — dodał Zarznicki — pańska... trzyma człowieka zawsze w przyzwoitej odległości od siebie... I — do kadnika, z pozwoleniem, nie wytrzyma żeby każdemu jakieś nanki nie dała...

Major śmiał się, patrząc na syna, który stał z ustami zaciętymi, widocznie dając poznać, że mu rozmowa była nieprzyjemna. Postrzegł to może Zarznicki i umilkł... Staremu Jazydze nadto to było na rękę, ażeby dopuścić tak łatwo zmianę przedmiotu.

— Pierwszy raz w życiu miałem dziś szczęście — odezwał się oglądając oblicze sławnej panny Ady; ale znajduję, że szanowny sąsiad masz słuszość...

— Ja, panie dobrodziej — zawołał uradowany pochwałą Zarznicki — ja — nie chwalać się — na ludziach znam się troszynie. Wszyscy mi to przyznają. A mam ten szkaradny zwyczaj, że co myślę to i mówię...

Począł się śmiać, zawtórował mu major.

— Zwyczaj to wysmienity. — rzekł — trzymaj się go pan; prawda, że to czasem na chwilę kłopotu przyczyni, ale życie z tem lżejsze. Zrzuci się z serca co na niem leżało — i kwita.

— A tak! jak Boga mego kocham — począł Zarznicki. Wracając do Ruszkowa...

— Herbatę podano — proszę — przerwał Robert, nie rad, że ojcu potakując, utwierdza go w zdaniu Zarzni-

cki. Sądził, że tem przerwie poczetą rzecz o Ruszkowie. ale uparty sąsiad. kończył idąc:

— Wracając do Ruszkowa—to mości dobrodzieju— arka Noego. Co ta tam znudzona panna nazbierała zwierząt wszelkiego rodzaju! Począwszy od tego złotego Jezuity, ks. Ottona...

— Czyż Jezuita?—spytał major.

— A jużci-ć! dosyć nań spojrzeć—mówił Zarznicki. Filut, bo tak jest pocziwy i surowy dla siebie. że gdyby człowiek chciał. to mu nic zarzucić nie podobna... A pod tą skórą baranią!! ho! ho! ho...

— Przecież sam pan powiadasz. iż mu nic zarzucić nie można—wtrącił Robert.

— Sam to powiadam, bo co prawda to prawda — ale Jezuita, śmierdzi mi.

Major wnet dodał:

— O. i mnie.

— Tych ludzi przez skórę czuć...

Robert zajął się herbatą. milczał.

Zarznicki z zapalem dalej ciągnął:

- Panna Hortensya! O! to—panie dopiero... ja szczureczka... Znają tu ją ludzie... Prawdziwie świętą trzeba być jak ta panna Ada. żeby z nią wyżyć.

— Dziękuje panu choć za to przyznanie.— wtrącił Robert żywo — iż panna Ada ma cierpliwość świętą w istocie... a przepraszam. iż wtrączę słowo... Być może, iż dwór jej dziwnie złożony. że to ludzie kalcy i niezdarni—ale któżby im dał przytułek, gdyby nie ona?

Ani słowa — zawołał Zarznicki. — tylko dodajmy. że jak są panie co się bawią pieskami i papugami, tak ona ludźmi... Ot co!...

Major go usciskał.

— Dalipan. kochany sąsiedzie. jasno widzisz i masz słusznosc.

Robert zmilczał postanowił i ojcu się nie sprzeciwiać i Zarznickiego nie jętrzyć—ale poczuł. że gło-

wa go boli—i było mu dziwnie ciężko na sercu.

— Ja ich tam *praeter propter* wszystkich znam — ciągnął dalej szlachcic, popijając herbatę, do której mu major rumu dolał.— O pannie Karolinie nic nie powiem złego... Mnie się zdaje, że biedna sierota, musztrowana tam, poszłaby za Mrzyna, aby się z pod tej opieki dobroczynnej wyzwolić... A no — dalej — Musiatowski sekretarz, półgłówek — tylko, że nie fiksat... Ten muzyk to łotr, pijak i zły tak, że pokąsałby człowieka gdyby mu się w czem sprzeciwić. W końcu malarz, co nie nie maluje... Jak mego Boga Kocham...

— Ale pan ich odmalowałeś! — zawołał major...

— Z tym malarzem ja sam miałem historię — odezwał się Zarzucki. Prosi mnie pani prezesowa, która się nie zna z Pretwiczówną: „Słyszałam, że ona tam trzyma nadwornego malarza, a WPan go znasz, trzeba mi do kaplicy Matki Bożkiej—zrób to, żeby mi wymalował.” A trzeba wiedzieć, że ja z tym Oleckim poznał osobliwym sposobem Mam u siebie stare smarowidło, nie malowidło, na desce dębowej... które jakiś bazarz, niezdara, namazał może przed trzystu laty. Ma to wyobrażać niby Familię Świętą. Ja to za drzwiami trzymam, bo to stary grat, ale, że po ojcu, dziadzie, pradziadzie, że to tam do tego przylgnęło niejedno westchnienie babki, a może łza jaka przyschła — szamnę. Ktos tedy w Ruszkowie o starym obrazie na złotym tle powiedział. Jednego ranka zjawia się nienaczasy, słowo daję, roztargniony, nie umiejący gadać pan Olecki, prosząc, abym ja mu obraz pokazał. A, z duszy, serca... Wynieśli go do bawialnego pokoju... patrzę — osłupiał, mruczy coś pod nosem, ręce składa... w zachwycenie wpadł. A to, powiadam państwu—smarowidło nie malowidło... Dopierom zrozumiał, jaki to znawca—ale cóż—chwali—milczę... Musiałem obraz pozwolić do Ruszkowa... nosili się, oglądali, byliby kupili, ale ja takich rzeczy nie sprzedaję... Paskudny jest — to prawda — a dla mnie droższy od

złota. tylko. że patrzeć na niego nie mogę... taki brzydki... Ale to—intra parenthesis. Oblęcki mnie pokochał, upoiłem go razy kilka, aż śpiewał... Gaudemns i drugą studencką... Meum est propositum in taberna mori... Musiałem się jej dla jego miłości nauczyć. Gdy mnie prezesowa zagadnęła o obraz, myślałem sobie:—pięknie on ci go namaluje! Ano—co mnie do tego! Piszę do Oblęckiego: przyjedź na ponczyk... zrobię ci rzymski... będziemy przy nim śpiewali. Stawił się. Gdy podpisał—ja występuję z propozycją. Wiedziałem, że się boi i nie lubi malować, choć to jego professya. Zbladł, począł się wymawiać. Ja nalegam, przycisnąłem go, dał słowo. Trzy miesiące słychn o nim nie było—dowadywałem się, mówili, że zamknięty siedzi... Począłem go listkami napominać... Naostatek obiecuje mi, że obraz przywiezie. Naznaczyłem dzień, czekam... Przybył... Na bryczce z nim paczka zabita... obłady, jak z krzyża zdjęty... ledwie go odchnął ponczem. Jest obraz? Westchnął—jest... Ciekawość mnie wzięła... żeby też to zobaczyć... Już my podpili nieco.—Pokaż—powiadam. —Zgoda! Posłałem po obcęgi, zaraz zdjęliśmy wieko... Byłem okrutnie ciekawy tego bohomaza — a no—zdziwiłem się. Obraz mi się wydał piękny, tylko osobliwa rzecz, przypominał bardzo mój stary... Nie śmiałem mu tego powiedzieć... Pochwaliłem. Patrzę, mój Oblęcki stoi przed swoim obrazem, stoi, oczy mu słupem się postawiły—jakby zdretniał cały... Myślałem, że go poncz znudził. Co tobie? trącam. Gdzie! ani mnie widzi, załamał ręce i poczyną sam do siebie...

— ..Nie, pocziwy zuchwalcze! tobie to ideały malować! Świętokradztwo... tobie! Śmiałeś się porwać na to, co najwznioślejszego ma ziemia i niebios...

„Ty! żabo... ty...”

Schwycił się za włosy, i jak ryknie, jak wyrznie obcęgami w obraz, jak go poczuje na kawały drzeć. Furyat się z niego zrobił, myślałem, że go związać

przyjdzie... Nimem przyskoczył, już było po wszystkim, kawałki płótna porzucał w ogień... pieniądze, które mu zapłaciłem, natychmiast na stół cisnął i nie rychło go uspokoiłem... Płakał, upił się i zasnął szczęśliwie.

Nazajutrz, zbudziwszy się, przeprosił mnie, i w najlepszym humorze w świecie do Ruszkowa powrócił, nie chcąc za nic drugiego obrazu malować. A mnie wystrychnął na dudka, bo mi prezesowa wierzyć nie chciała, gdym jej to opowiedział. Cóż? nie waryat?...

Długie nieco opowiadanie Zarznickiego prawdziwą uczyniło majorowi przyjemność. Ożywiła się rozmowa, ciągle obracając około Ruszkowa. Trwało to do północy prawie, ale majowa noc — żał się spać kłaść, nikt o śnie nie pomyślał. Zarznicki w końcu wystąpił z prośbą do Roberta, aby mu dwadzieścia korcy owsa pożyczył, które oddać miał gdy stertę zwiezie i namłóci. Naturalnie nie odmówiono mu, i około dwunastej pozbył się Robert sąsiada, a ojcu pokoju swojego i łóżka ustąpiwszy. sam się na kanapie przespać położył.

Charakteru Roberta łatwo się już domysleć z tego cośmy mówili o nim. Nie zbywało mu na energii względem obcych ludzi; ojca tak kochał, iż w obec niego był bezsilny. Bolało go jednak, iż bronić nie umiał i nie mógł tego co szanował. Panna Ada była dlań ideałem niewiasty, nie rozumiano jej, spotwarzano. Robert się czuł winnym, że w obronie stanąć nie umiał. Wyrzucał to sobie niemal jak podłość.

Przez całą noc pół śpiąc, pół marząc, klócił się z ludźmi i z sobą; zdało mu się, że z poszanowaniem tłumaczy ją przed ojcem. Męczył się, czując, że mu to przychodzi trudno, że co czuje, wyrazić nie umie.

Major także nie wiele spał i niespokojnie — usiłował samego siebie uspokoić. a kochanego Roberta oczyścić we własnych oczach. Juscież niebezpieczeństwa nie było. ażeby się miał zakochać?... Od jeżdże-

nia częstszego do Ruszkowa można go było powstrzymać refleksyą, że synowi starego wojaka nie przystało być rezydentem i dworakiem dziwaczki... i na równi u niej stać z półwaryatami...

Panny Ady nie rozumiał jeszcze major... Widział ją oczyma tłumu. sądził z powierzchowności... czy sprawiedliwie? spytał sam siebie.

Przywiązanie do syna i rodzicielskie ocenienie jego czystej duszy. wprawiało majora w największą niepewność. Juściż — mówił sobie — kiedy ten pocciwy mój Robert szanuje ją i czuje w niej cnotę i rozum — jakżeby on się ze swym instynktem mógł omylić?

Słowem. bił się major myślami, a przeklinał dzień i godzinę. gdy dla Roberta wziął Zahaje. Teraz. w tej trwodze innego nie było ratunku, tylko to co major w drodze z Ruszkowa do Zahajów wymyślił: Robertowi oddać dziedziczne Żabliszki, a samemu sięść w Zahajach...

Było to największą ofiarą jaką serce ojcowskie mogło uczynić dla ukochanego dziecięcia... W Żabliszkach otaczały go wspomnienia szczęścia, tu się przechadzał jeszcze cień ukochanej żony. tu na cmentarzu złożył jej zwłoki i sam chciał przy nich spoczywać. Oddalić się z Żabliszek było to powoli zamierać z tęsknoty i wyrzec się jedynych pociech. jakie miał major na świecie. Ale matka tam. z niebios patrząc... zdawała mu się szeptać: — Poswieć siebie dla dziecka naszego!! Gotów był na to Jazyga.

Do tego wszakże trzeba było pretekstu jakiegos. pozoru. usprawiedliwienia. Musiał nad tem myśleć...

Drugiem lekarstwem mogło być ożenienie Roberta... lecz możnaż było go gwałtem żenić. namawiać, i z obawy nrojonego niebezpieczeństwa, narazić go na istotne i nie cofnione nieszczęście.

Skończył na tem major, że się sam wylażał. Co to znowu! rzekł, nie ma nic — a ja się duszę licho wie



czem. Roberta poproszę, żeby rzadziej bywał—i kwita. Chłopiec posłuszny... Nie ma się czem tam zagryzać!! tfu!

Nazajutrz rano, major wymógł to na sobie, żeby być w dobrym humorze... Robert był pochmurny... Nie było najmniejszej o Ruszkowie wzmianki, bo stary Jazyga nmyślnie jej unikał. Pojechali konno na pola, do lasu, oglądali całe gospodarstwo, założoną pasiekę, którą Jazyga lubił bardzo—owce. Obiad prosty, z ulubionych potraw majora złożony, smakował mu na podziw. Dzieńby cały był zszedł bardzo dobrze i wesoło gdyby przyjazd pułkownika po obiedzie nie zwrócił mimowolnie myśli na Ruszków.

Brandys, chcąc się nacieszyć dawnym towarzyszem broni, nieproszony się przywłókł, w wysmienitym też humorze, z pełną głową wspomnień, które potrzebował wyładować.

Na wstępie ukłony obn. Jazygom oddał od panny Ady i przypomnienie dnia, którego się jej obiecali na obiad...

Major pochmurniał... wkrótce jednak jakoś poczęli o starych dziejach i oba poweseleli przy kieliszku wina...

Robert musiał na jakąś godzinę pójść przypilnować mycia owiec, starzy zostali sami.

— Spodziewam się—odezwał Brandys, — że przebywszy kilka godzin z moją dobrodziejką, pozbyłeś się nprzedzeń, jakie przeciw niej mieć mogłeś..

— Ale — ja bo żadnych nie miałem — rzekł major. — Nie zrozumiałeś mnie, nie lubię panów w ogóle...

— I liczysz ją do nich?.

— Nie podobna jej do naszego szlacheckiego włączyć świata.

— Ale i w panskim jejby było ciasno — odezwał się pułkownik. Powiem ci jedno, co cię może z nią pogodzi...

Znasz i wiesz jakie ma kolligacye. stosunki naj-  
świetniejsze. Majątek i wykształcenie ciągną ku niej  
arystokrację naszą. Gdybys ty widział i słyszał jak  
się ona z nią obchodzi!!

Major podniósł głowę...

— Tak ich traktuje—mówił pułkownik, — że żaden  
ani żadna tygodnia tu nie wytrwa. Znasz panów na-  
szych, wszystko to gładkie, lśniące. świecące a wia-  
trem podszyte... Gadać umieją. rzadko myśleć.  
Wszystko wiedzą. — nie zgłębią i nie uczą się nic.  
Zdaje im się, że jak ród i majątek mają z łaski bożej.  
tak rozum i naukę powinni mieć nie pracując na nie...  
Z nią nikt z nich próby nie wytrzyma. Powiedział ci.  
że nieraz aż pożałowałem skonfundowanych. gdy so-  
bie wzięła za zadanie dowieść im. że są nienuki i pró-  
żniaki.

Taka to ona—dodał Brandys...

Zmleczął major...

— Nie podoba ci się?—spytał pułkownik.

— Sam widzisz. że jej nie znam — odparł Jazyga...  
Być może iż panów nie lubi i zna ich — ale i ona też  
dyable pańską ma minę.

— Ta kobieta—odezwał się z zapalem pułkownik—  
musi czuć wysoką godność swoją. i ma prawo z góry  
trochę na świat patrzeć. My co ją widzimy codziennie.  
co wiemy o jej dobrych uczynkach... nam zdaje się te-  
go za mało... Ona jest godna!!

Pułkownik w uniesieniu wyrazu nie znalazł na  
oddanie myśli swojej...

Major się uśmiechnął.

— Lepszej szkoły niż ten dom dla twojego syna...  
nie znajdziesz na całym świecie.

Jazyga drgnął.

— Dajmy temu pokój — rzekł. Ja mojego Roberta  
tak kocham... że się dlań wszystkiego boję.

— Nawet tego co dlań zbawiennel — rzekł. śmiejąc  
się pułkownik.

W tem major zagadał o gospodarstwie syna. potem o wczorajszej bytności pociesznego Zarznickiego. i szczęśliwie sprowadził starego towarzysza na przedmiot inny. chociaż pułkownik tak był swą panią i jej doskonałościami przejęty. że nieustannie do niej wracał.

— Między nami mówiąc. — dodał w końcu — bo to tego w złą godzinę powtarzać nie trzeba, aby się nie ziściło — jedno złe tylko u nas... ten poczciwy i zany ks. Otto. który moją dobrodziejkę białonuci. ciągnąc ją. aby co ma, wszystko poświęciła interesom kościoła! Zganić tego nie można — pewnie — westchnął — ale ja sobie coś innego marzyłem przecie i dla niej i dla nas. Taka kobieta. żeby też sobie mężczyzny jej godnego nie znalazła i żeby też nie mogła być szczęśliwa! To by także Panu Bogu poszło na chwałę, zdaje mi się — ale z każdym dniem będzie trudniejsza, ideały rosną i ona sama też potężnieje duchem, do pary jej trudno znaleźć będzie człowieka... Za tem pójdzie znaczna majątność. powiększona oszczędnością na klasztory. kościoły i dobroczynne instytucje.

— A! cóż w tem złego? — zapytał major.

Pułkownik głową pokręcił.

— Mój drogi — rzekł — patrzymy na to ciągle w co się podobne obracają fundacje. Cel założycieli albo niedobrze zrozumiany. albo z czasem zmieniony... a ludzie słabi... W rękach rodziny pocziwej majątek krajowi pożyteczniejszy.. Zresztą. nie tyle mi idzie o niego co o nią... Miałaby życie ot tak — marnie. rozrywając się to tem to owem. spędzić — nie doznawszy co powinien człowiek przejść. przeboleć nawet i przemaznać!.. Co to jest los starej panny, choćby nawet tak niezależnej jak ona? Kobieta z charakterem... z energią. — z pogodnem czołem znosi wszystko. radaby nas przekonać. że szczęśliwa... a no! a no! nie oszuka mnie przynajmniej.

— Cóż to. ks. Otto ma na nią wpływ tak wielki? — zapytał major.

Pułkownik Brandys ramionami poruszył.

Ksiądz zacny i zręczny... Wpływ istotnie ma, bo i zdolności po temu. Człowiek niepospolity, ale nie z tego świata. Co dlań jedna taka kobieta i jej losy — jemu, który ma na oku sprawę ludzkości i kościoła? Poświęciłby ją, siebie i wiele w dodatku, aby swoją myśl przywiesić do skutku...

A co do wpływu jego? Ha — mówił pułkownik — znam dobrze moją dobrodziejkę, jednak w tem, i w wielu innych rzeczach, nie rozumiem jej.

Gdy ks. Otto w inną ideę, którą ona przyjęła, przemawia, wpływ ma ogromny — w innych razach z poszanowaniem mu się uchyla, zbywa milczeniem i żadna siła jej z własnego toru nie sprowadzi. — *E! Hic mulier!* któż powie, że znał kobietę —?

W sprawach majątkowych — gawędził dalej pułkownik, paląc cygaro — mieliśmy nadzwyczajne szczęście. Za życia nieboszczki starej pani, ledwie, że się majątek dawał utrzymać, panie naszej wiodło się nadzwyczajnie. My cośmy zaczynali obarczeni długami, oczyszciliśmy majątek... Składamy kapitały, choć.. choć ksiądz kanonik nas tego po drżyna.

— Na to nieżałuje widać? — wtrącił major.

— Ona nie żałuje na nic co się z jej przekonaniem zgadza — rzekł Brandys; — ale niechże jej kto spróbuje swoje narzucić!! Ale! Ale! ma fantazyę... Na książki, na ryciny, któremi choć w piecu palić — gotowa dać grosz ostatni; a przyjedzie kto za składką jakąś natarczywie się jej domagając — odmówi. Nazajutrz takim co zdaje się nie wart pomocy, sypnie... Kto to tam wie co w niej gra. Zdaje się, że nad wszystko słabą by i nie chce, ani za taką poczytaną.

— Pycha — rzekł major.

Trudno jej mieć za złe — broni się. Słabe istoty świat opanowuje, a ona niczyjem narzędziem być nie chce...

Na tych wyznaniach, z których Jazyga nie wiele się zbudował i nauczył, upłynęło godzin parę. Ro-

bert powrócił od owiec. Przy nim i ojciec był weselszy. Już samo patrzanie na jedynaka wprawiało go w humor dobry.

— Żeby to tylko szczęśliwe być mogło! myślał...

Lecz wież kto w świecie, gdzie jego szczęście mieszka. z kąd w niego piorun nderzy? Tego co się nazywa szczęściem, ani przewidzieć, ani zgotować sobie nie można. Co miało dać je, przynosi męczarnie; czego się człowiek lękał i unikał, to mu z sobą pociechę niesie... Major tych wielkich prawd nie wiedział; zdawało mu się, że przyszłością i losami, jak pułkiem kawalerji, komenderować można!

Jak cały dom panny Ady Pretwiczówny, tak jej własny pokój, ten, w którym w odosobnieniu sama z sobą przebywała — był z wielką starannością, smakiem i dość oryginalnie urządzony. W tym pokoju nie zwykła była nikogo, prócz najpoufalszych osób przyjmować. Nie lubiła gdy się jej tu kto gwałtem wciśnął, jak często panna Hortensya, i wyprowadzała do gabinetu, w którym zwykła była przyjmować. Można było sądzić, iż się lęka, aby tu — tajemnicy jej życia nie pochwyciono... Lecz w życiu panny Ady byłaż jaka tajemnica? Całe ono stało otworem, odkryte jawne... i najpodejrzliwszy umysł żadnej w niem nie mógł wyszukać zagadki.

Pokój ten, który zwała swoją celą... niewielki był, miał dwa okna od ogrodu, przez które zieloność tylko i parę dalszych widoków parku oko chwycić mogło.

Jak wszędzie koło niej, tak i tu nie brakło książek. Dnóż ich leżało porozrzucanych po kanapce, stoliku, po półkach — w szafce starej, misternie okrytej rzeźbami, stał wybór ulubieńców panny Ady...

Były tam i arcydziela, i książki, które się do nich nie liczą, ale dla niej urok jakiś miały. Obok Biblii stał Montagne; obok Homera Shakespeare: parę tomów Wiktora Hugo'na, Pascal, Schoppenhauer i De Maistre... Obok Swedenborga, było coś Hegla... Słowem najdziwaczniejsza mieszanina. Gęsta firanka osłaniała dzieł tytuły, a klucz od szafki był pod zamkiem. Czy wszystko to czytała panna Ada, trudno powiedzieć; lecz wszystko czytać próbowała — to pewna. Przychodziły jej snadź fantazyje sceptycyzmu, dla utwierdzenia się w wierze, i chwile pragnień ekstazy. Dla obronienia się sceptycyzmowi...

Umysł czy podleciał wysoko czy nie, ale rozwinął skrzydła... W szafce ten wybór leżał bez porządku, w książkach sterczały zakładki, inne leżały rozłożone, jakby je kiedyś znowu wziąć miała i czytać dalej od tego miejsca na którym opuściła ją cierpliwość i usposobienie się zmieniło... W istocie, kto by był uważnie wpatrzył się w tej szafy wnętrze — możeby tego umysłu chciwego, niezaspokojonego, spragnionego choć część tajemnicy pochwycił...

Na szafie z książkami piękne starożytne popiersie Sokratesa, nśmiechało się łagodnym sceptycyzmem — zdając się mówić. *Nosce to ipsum, to jest...* Wiedz, że nic nie wiesz...

Naprzeciw szafy w największym światła blasku, w przepysznych weneckich ramach starych rzeźbionych, wisiał portret wyobrażający kobietę w średnim wieku, piękną, smutnie usmiechnioną, z twarzą zbolalą, z oczyma wypłakanemi... Typ to był arystokratyczny, wątki delikatny, pieszczony... któremu w cieplarni jak kwiatkowi pielęgnowanemu mogło być znosnie — na świecie zwiędnąć on musiał... Los tej kobiety czytał się w jej twarzy... Było to dziecko, które

jastrzębie szpony losu chwyciły, zakrwawiły i zgniotły... Na czole marzenie szczęścia. w oczach pragnienie kochania, w całej postawie widoma chęć podobania się i zasłużenia na pieszczoty... Była to ta matka Ady, której los nieszczęśliwy oddziałał na całe córki życie i uczynił ją żołnierzem zbrojnym, stojącym na straży własnego serca. Śliczna była. pociągająca. idealna ze swym uśmiechem dziecięcym ta kobieta, choć do koła uśmiechu ból już wyorał zmarszczek parę... malowano ją w tym wieku, gdy już przecierpiała wiele, a kochała jeszcze..

Stanąwszy przed tym obrazem motyla, który opalił skrzydła — niepobna się było oprzeć uczuciu litości niezmierniej. Czyniła wrażenie kogoś. co się cofając stoi nad krawędzią przepaści.. Ten obraz nieszczęśliwej matki, który codzień miała Ada przed oczyma, utwierdzał ją i utrzymywał w postanowieniu. aby panią siebie być się starała...

— „Kozum, nie uczucie, rządzić życiem powinien,” mówiła. patrząc na wizerunek matki. Wiekuiste memento... uśmiechało się z różowych ust jego...

Dalej wisiał ulubiony pannie Adzie obraz Madonny ze szkoły Bernarda Luini'ego, może nawet samego tego mistyza. niepośledniejszy od fresków jego mający coś w sobie Leonardowskiego, a większego i przejętego uczuciem niewymownem. Na obrazie tym wielki niewieściego ideału malarz. umiał połączyć niewysłowiony spokój z cierpieniem, rozkosz z boleścią—oboje tak złane i tak dźwigane, jak duszom błogosławionym przystało

Obrazu tego panna Ada nie chciała dać do kaplicy, za świętokradztwo poczytywała powiesić go w salonie i oczom profanom ołstonić za wielką łaskę pokazywał go wjbranym... Obłącki w osobnym pokoju trzy razy go próbował kopiować. trzy płótna zepsuł. włosów sobie nadarł — zrozpaczył i porzucił. Czasem na pół godziny wpuszczała go tu panna Ada. aby się duchem mógł pomodlić przed tą Madonną.



Mirosław patrzył, płakał i wściekał się...

Widział uchybienia w rysunku na tym arcydziele, ubóstwo kolorytu. techniki nieśmiałość i dziecinne wykończenie — ale razem z tem wszystkiem było to arcydzieło... Mieszkał duch jakiś w tem wątleń. bladawem płótnie... Z niego byłby się mógł nauczyć Oblęcki, że umiejętność i technika są to tylko narzędzia, któremi niewidzialne tchnienie obraca. że oboje mieć można i nie umieć ich użyć, a bez obojga nawet są mistrze. Ale Oblęcki nie rozumował—cierpiał i bił się z sobą.

W pośrodku pokoju ogromny stół pokryty gobelinowym ciemnym kobiercem, zastawiony był fraszkami i pamiątkami. Nie było między niemi ani jednej, któraby wartosci artystycznej nie miała—i to ten stół odróżniało od wielu innych, wśród których dysharmonijna jakaś nuta krzyczy, i psuje melodyę linii i barwy... Czuć było artystkę w tym stoliku, co najpospolitrze sprzęty codziennego użytku dobrać umiała tak. aby je pokochać można.

Wśród porozkładanych, na wpół porozcinanych książek. listów, rysunków i papierów, spora księżka na klucz zamknięta, z nieco zużytymi okładkami, które długiego jej i częstego używania dowodziły. uderzała najbardziej. Oprawna w brunatną skórę ze srebrnemi klamrami. miała na wierzchu cyfrę właścicielki. zręcznie związaną, i łaciński ów napis znany: *Nulla dies sine linea*.

Można się w niej było domysleć łatwo dziennika... Nieraz ciekawe oko padło na tę księgę, nieraz może usiłowano w nią zajrzeć, nęciła ona pannę Hortensyę. która mawiała w duchu, że dałaby rok życia, gdyby mogła jedną przeczytać stronicę —ale nikt a nikt dotąd—oprócz tej co się codziennie na tych kartkach spowiadała sama przed sobą, nie odkradł się do nich... Książka zawsze zamknięta na klucz, umyślnie zrobiony tak, aby jej żaden inny nie mógł otworzyć. otwie-

rała się raz wieczorem tylko i zamykała starannie...

Leżała zawsze na stole, jakby na pokusę tym co do pokoju czasem byli wpuszczani — lecz ilekroć panna Hortensya, lub ktokolwiek inny objawił życzenie choćby rzucenia okiem na nią, właścicielka odpowiadała takim wejrzeniem milczącym, iż prośby powtórzyć nie śmiano...

— To są rachunki moje — mówiła zinnu.

— Rachunki sumienia? — pytała szydersko panna Trocka.

— Tak, sumienia i bielizny razem — figlarnie odpowiadała Ada...

W tę księgę tajemniczą, dla czegożbyśmy my nie mieli zajrzeć prawa? Parę kart z niej da najlepsze charakteru właścicielki wyobrażenie.

„Kwietnia. — Biedna, dobra matko, na której obrazie tylko co spoczęły oczy moje — powiedz ty mi: jesteś kontenta z dziecięcia?? Patrz jak ja walczę mężnie, jak cierpię wesolo — i jak strasznie już jestem zmęczona.

„Liczę lat... nie wiem ile ich jeszcze przeżyję — a życie się wydaje tak długiem! Czemu? Nie wiem...

„Tworzę sobie coraz nowe zajęcia, duszy niemi zapełnić nie mogę... Nanka .. kończy się zawsze jakas ścianą, po za którą przebić się niepodobna... Sztuka ma skrzydła co podnoszą na chwilę, ale nie niosą da-

leko. Ikarowe to są skrzydła... Życiu potrzeba celu... Mąż cel inny życie. nad ten. byśmy wyrosli komuś na pożarcie? ludziom, losom, wilkom, wątpieniu? ja nie wiem... Wszystko się przecież kiedyś skończyć musi... To pociesza...

„Widzisz kochana mamó — jak mężnie broni się corka twoja wszelkiemu w świecie kochanin... Jak skoro czuję. że się węzeł jakiś zadzierzgnąć może, rwę go nielitościwą ręką... Boli—ale z własnej woli. Tak lepiej..

„A! ale cóż za szare mroki! Goethe wołał umierając: Światła. więcej światła! — i ja mam ochotę zawołać życiu mojemu: Światła. ciepła!

„Ten pan Robert Jazyga. to prawdziwa dla mnie zagadka.. Nie wiem czy coś podobnego w drugim egzemplarzu wydała typografia świata naszego... Uniknął w swoim rodzaju... Najdziwniejsza dziecięca prostota i naiwność. a umysł tak otwarty, że wszystko zrozumie i pojmuje..

„Zkąd mu się bierze ta wesołość? czy on smutków życia, kirów jego i żaloby nie widzi?? Nie rozumiem. Czasem mi się chce mu oczy otworzyć; lecz na cóż budzić dziecko w kolebce śpiące, które śni i marzy o aniołach? Nie byłoby to okrucieństwem?

„Bóg mądał taką śliczną powierzchowność. . Nie raz szukam w nim wady jak w obrazie. zimnem okiem rysownika... Niestety! może gdybym tę piętę Achillesową znalazła, cały on inaczejby mi się wydawał... a—dojrzeć jej nie mogę... Jak wiele pięknych kobiet. co mają anielską postać. a pod nią próżnię... myślałam, że to taki Antinous. którego tworząc natura zniogła się na ciało, wyczerpała i zapomniała tchnąć w niego ducha...

„Myślałam długo. że tak jest. alem się omyliła... Jest w nim isierka boża. tylko forma i barwa w jakiej się objawia, różna od pospolitych... Robię sobie z niego przedmiot studyów ciekawy...

„Zkąd temn umysłowi zdolność pojęcia bez chciwości pojmwania?? Bawi go wszystko, nie goni za niczem.. bawią go rzeczy — dziecinne.. złote obłoki. zapachy kwiatów, gwary wieczoru,—równo obraz stary i dzieciak wiejski odrapany a malowniczy... Słucha z równem zajęciem rozprawy filozoficznej i sonaty, i dywagacyj Obłęckiego i nank księdza Ottona...

„Próbowałam go książkami. Każda go zajmuje zarówno.. Jest jakby człowiek głodny, któremu każdy pokarm smakuje. a żaden nie szkodzi...

„Czasem jak dzieciębym go kochać rada... jak wychowańca — ale kochać — o! broń mnie matko moja — kochać to niewola. kochać to poddać się. a ja muszę być swobodna — i tak jak jestem...

„Wyrzec się wielu życia — ciekawości, aby ich nie opłacać cierpieniem... muszę... Łzy matki jeszcze mi przed oczyma stoją. Mówiła mi zawsze: Wszelka miłość to niewola... bądź wolną... Tak lepiej.

„Czasem mnie szatan ściąga do tych „ciekawości” życia, których ja nigdy okiem nie tknęłam ni usty... Czasem pragnęłabym cierpieć. aby być kobietą. aby znać wszystko ludzkie, potem dreszcz mnie przebiega, trwoga. . i odpycham pokusę...

„Są wyższe cele... są nadludzkie biesiady myśli i ducha. Tak, a na dnie ich wszystkich — nicość, milczenie... grób. przepaść czy ta ściana, po za którą dostać się nie można.

„Ks. kanonik Otto jest człowiekiem uwielbienia, podziwu godnym, żyje dla idei... Wszystko cielesne, słabe. znikome zrzucił. zaparł się tego... Uczucie wyrwał z piersi, zastąpił je — obowiązkiem.. Jakżebym pragnęła mu być podobną! To mój cel, dążenie... to będzie chluba moja, gdy tej doskonałości doścignę. Umie być dobrym. nie będąc miękkim... Surowy jest. bardzo nawet, lecz takim być musi — prawo ustępstw nie zna... żelazne jest... Nic go nie rozczuli nigdy... Z zinną krwią patrzy na kary, które spotykają występnych. utrzymując. że są potrzebne dla przykładu.

Jest przeciw wszelkiej tolerancyi, nazywając ją grzesznem pobbazaniem grzechowi... Wiem, że się wyrzekł zupełnie synowca, który na uniwersytecie poszedł drogą fałszywą... Wymówił mu dom, pomoc wszelką—powiedział, że nie ma z nim i nie chce mieć nic wspólnego. Co za moc duszy! Nie ma na świecie nikogo, oprócz niego. Ksiądz nie powinien mieć rodziny; rzekł mi, gdym nad nim ubolewała. Ośmieliłam się uczynić mu uwagę, że opuszczony tak młodziemiec, może zostawiony sam sobie—zwichnąć się i zginać. Westchnął. Będzie, to rzekł, kara za lekomyślność, z jaką przylgnał do nowych swiatełek, starą rzucając pochodnię...

„Nie tai się z tem ks. Otto, że pragnie wysokich stopni w hierarchii, i że się wszelkimi środkami godziwemi starać będzie o nie. Czuję się na siłach być kościołowi pożytecznym, mówił, dla czegożbym nie miał się dobijać miejsca w szeregu, z którego pocisk skuteczniej rzucić mogę?

„Słucham go czasem z uwielbieniem, z zachwytem, niekiedy z trwogą... Niepospolity to człowiek—oprzec się mu niepodobna. Gdyby jutro najdroższa sercu jego istota, jako ofiara dla jego idei była potrzebna—nie wahałby się na śmierć jej skazać...

„Nie wiem — grzech to może! czasem ta surowość wątpliwości we mnie obudza.. Ewangelia inne na mnie czyni wrażenie. Mówiłam mu o tem. Odpowiedział mi, że my świeccy ludzie ani jej czytać nie umiemy, ani możemy zrozumieć... Skłaniam głowę—ale duch mój, jak naciśnięta sprężyna rwie się ku górze... Czynię ofiarę ducha i rozumu... A! gdyby ofiara ta była możliwa! Stłumić ich objawy w mocy naszej, zabronić im w sobie się poruszać, niepodobna...

„Zdaje się, że ks. Otto ma mi prawie za złe moją słabośćkę dla tego dzieciaka Roberta... Wczoraj szydersko mnie zapytywał, com w nim tak ciekawego odkryła? Dał mi do zrozumienia, że moje artystyczne

fantazye mogą mi dla samej piękności kształtów i idealnego pozoru—zamknąć oczy na nicość tego ładnego parobczaka...?

„Nie odpowiedziałam nic — bo to już było trochę za wiele; na przekór tylko księdzu, byłam dla chłopca jeszcze bardziej niż zwykle uprzejma.

„Ks. Otto ma passyę wszystkim i wszystkimi kierować... Ja nie wiem, czy człowiek wzięty w takie leszczotki miałby już jaką z cnoty zasługę, z dobrego, które czyni—chwałę?? chyba by mu się zaliczyła pokora i posłuszeństwo!!

„Duch mój buntuje się niekiedy! To źle, bo tak samo, jak się opiera nauczycielowi, mógłby się mnie samej oprzeć, stawić i unieść mnie, jak koni rozbujany... Ja chcę być panią siebie.

„To rzecz szczególna, jak się wiele uczę z tego egzemplarza człowieka... Nie ma ogłady towarzyskiej; formy jego instynktowne, nieuczone, coś surowego w nim jest, a mimo to wiele wdzięku, nigdy nie chybionego, niezręcznego, niesmacznego...

„Wszystko go dziwi... wszystko bawi... a każdą rzecz ten umysł tak łatwo przyswaja. Jestem pewna, że gdyby ojciec dał mu być wychowanie inne, byłby to...

„Zapędziłam się — któż wie? byłby to może tak pospolity, salonowy człowieczek, jak ci wszyscy, którzy mam w ohydzie... Ma teraz to do siebie, że do innych nie jest podobny, obraca się swobodnie, sobą jest..

„Przyznam się, że mnie tak bawi, jak żadna przez mikroskop widziana tkanka roślinna lub wody kropelka... W swoim rodzaju fenomen...

„Tak jak jest... może póki nie zestarzeje i nie spowszednieje, nie robi się do drugich podobnym—bawi mnie, powtarzam, bardzo... A tak łatwy jest w życiu, dobry... I—dziwna rzecz, kocha cały świat, a miłość mu ta nic nie szkodzi!

„Niedawno. nie zastawszy mnie w domu, siadł w ogrodzie na trawie i pościagał do siebie dzieci ogrodnika... Zastałam go gdy mu te brudasy ręce zasmolone na szyi wieszały, a on śmiał się i tak był z nich szczęśliwy... Z Oblęckim biednym w największej przyjaźni, z Musiatowskim obchodzi się jak z chorym, kochają go wszyscy...

„Boję się tylko o Karolinę, żeby ta nie zanadto w nim miała upodobania. Widzę jak ukradkiem na niego spoziera. Karczę ją wzrokiem, czerwieni się. ale nie poprawia. Jedna panna Hortensya go nie cierpi. zdaje mi się, że sama nie wie dla czego... ot tak. Jej żółć potrzebuje się wylewać na kogoś. choćby na mnie.

„Raz, gdy mu ze straszliwą złośliwością przycięła i wyszła, chcąc złagodzić ranę, naganiałam to głośno... Chłopak się zaczerwienił i złożył ręce.

— „A! proszę pani—to nic nie jest... panna Hortensya jest osobą bardzo dobrą... a że czasem trochę się na mnie niecierpliwi—cóż to szkodzi?..

„Nie umiał się nawet rozgniewać. Kanonik nie-raz mu dał uczuć ostro, że go lekceważy. a jednak jest dla niego z poszanowaniem największem. I ma tę tajemnicę wesela niepojętą dla mnie. Zawsze wesół. uśmiech i piosnka na ustach. Kanonik nie bez celu utrzymuje, iż to jest znamię ludzi upośledzonych... ale on wcale upośledzony nie jest...

„Jak on czuje piękno w sztuce — choć o niej wyobrażenia nie ma!

„Byłam zdumiona w istocie, gdym mu na próbę pokazywała mój historyczny zbiór dzieł włoskich szkół. Nie mówiłam nic umyślnie. Przyszliśmy do manierystów. co tyle mają wdzięku, a tak mało myśli. do tych Corregiów i consortes, którzy mi przypominają obrazami swemi arye z fioryturami. Stał zimny... Spytałam go—jak mu się to podoba? odpowiedział mi, że Madonna Luiniego więcej warta. niż Noc Corregia,



że takich pasterzy i takich wywdzięczonych aniołów nie ma na ziemi ani w niebie.

„Słuchałam zdumiona.

„Od czasu jak bywa u mnie, z sanych rozmów, z kilku książek, nadzwyczajne uczynił postępy. To mnie przywiązuje do niego... Patrzę, śledzę, jak posiane ziarno kielkuje, podrasta. zieleni się, na pączek wzbiera i wykwita...

„Jestem dlań jakby matką...

...„Ta nieznosna Hortensya... Potrzebuję całej mocy nad sobą, aby ją zniesć — i nie stać się opryskliwą... Nienawiść i gniew — równie jest rzeczą niebezpieczną i upokarzającą, jak miłość. Nie mogę, nie powinnam jej nienawidzić — toby było słabością. A czasem, czasem mnie przyprowadza do niecierpliwości.

„Takiego zajadłego prześladowania, jakiego się ona dopuszcza nad biednym Robertem, żadnaby gospodyni w domu swoim nie zniosła. A jak on to łagodnie umie przyjmować!... Nigdy mu się nie znarszczy czoło, nigdy najmniejszej oznaki. W chwili, gdy ta kasa, on jej z uśmiechem kłębek podejmuje. To ją w większy jeszcze gniew wprawia...

„Ośmieliła mi się dawać przestrogi za moje zbyt poufale obchodzenie się z nim... Miałam tyle mocy nad sobą, że nic a nic nie odpowiedziałam. Obawiałam się wybuchnąć. Zdaje się, że zrozumiała to, i że pragnęła, postanowiła mnie do gniewu pobudzić — a to jej się nie udało...

„Jeden pocziwy pułkownik bierze moją stronę.. Właśnie dla tego, że Hortensya i kanonik prześladowają mnie tą słabością — nie ustąpię...

...„Przez dwa dni — dziś już trzeci, nie było Roberta... Czułam, że mi jest w domu potrzebny, co najmniej jak Obłęcki, Rubaczek i Musiatowski... Może nawet ta naiwna dusza dziecięca żywiej mnie, niż ci kalecy moi obchodzi... Cóż w tem złego? Nie kocham go przecie — bawię się nim... Mam może nawet tro-

chę zasługi, że mu się u mnie głowa otwiera, umysł rozjaśnia...

„Dziwne chłopię... Ale cóż się mu stało, że go nie ma? Trzeci dzień! Gdybym się posłała dowiedzieć, dałoby to kochanej Hortensyi pobudkę do przycinków. nie chcę jej tem uszczęśliwić...

...„Był chory pan Robert... zaziębił się. Ale cóż takiej silnej młodości, jak jego zaszkodzić może? Jedno co jego ojciec umiał doskonale wychowując jedynaka. to, że go zahartował i oszczędził mu przez to wiele w życiu zawad i nieprzyjemności. Przez czas tego niezdrowia czytał książki, które mu dałam... Słuchałam egzaminu. Pojętny dziwnie... a nic go nie nęci tak, tak bardzo, aby się żywego życia wyrzekł dla nauki i rozmyślenia.

— „Ja czytam chętnie, zajmuje mnie to mocno, powiedział mi — ale gdy słyszę śmiechy dzieci, rzenie koni, szczekanie psów, gwar powszechnego życia — jeszcze mnie to więcej porywa i ciągnie... Ja stworzony do czynnego życia.

„Zrobiłam mu uwagę, że dla tego rdzewieć nie trzeba...

„Jak on umie słuchać, gdy mu się co mówił! Lubię mu dawać nauki, zwraca naówczas te duże swe, jasne oczy na mnie. wlepia je we mnie — czasem ten wzrok aż mi jest przykry. Miałyżby oczy ludzkie siłę tę fascynacyjną, którą wzrokowi bazyliuszka przypisywano w wiekach średnich?

„To pewna, że w oczach być musi jakaś magnetyczna potęga...

„Przypadkiem się zgadało o tem przy kanoniku, który utrzymuje, że ta siła jest — nieczysta... że jest czysto-cielesna i zwierzęca...

„Nie wiem? Dla czegoż budzi nie zmysły, ale myśli?

„Ta sama trafność sądu, jakiej dał dowody oglądając artystyczne dzieła, zdumiała mnie, gdym zażądała sprawozdania z tego, co czytał. Nastrezczam mu

lekkie czytanie, aby go zachęcić do niego. Dałam mu Wiktora Hugo'na, Sand i Ducange'a... Powiedział mi, że ostatniego nie mógł czytać po pierwszych. Był ciekawy Rousseau. Dałam mu go—nie podobał mu się. O wielbionym niegdyś stanie natury, wyraził się bardzo trafnie, że to był stan na pół zwierzęcy.

„Tysiąc takich drobnostek w rozmowie — zaciekawiają...”

„Gdybym mogła Karolinę, gdzie na czas jakiś wysłać... Biedne dziewczę może się rozkochać... chociaż on ją jak siostrę traktuje... Karolina musi być nieszczęśliwa. Głowa rozmarzona, przy pierwszej zrzeczności padnie ofiarą. Oblewam ją jak umiem i mogę zimną wodą, nic nie pomaga... Hortensya z oka jej nie spuszcza... to mnie ubezpiecza...”

...„Potrzebowałam gwałtownie jakiegos zajęcia... Objechałam gospodarstwo, wstąpiłam do mojego domu przytułku i ochronki... Powiada mi siostra Aniela, że wiele matek nie mnie oceniać dobrodziejstwa, jakim są dla nich ochrony... Nie umieją, nie mogą się na kilkanaście godzin od dzieci oderwać. Niosą je z sobą, aby patrzeć na nie, aby głos ich słyszeć. Przecież żadna z nich lepiej czuwać nie może nad dzieckiem nad ochroniarkę. Taka miłość macierzyńska jest bezrozumna, bo każda miłość bezrozumną być musi. Do domu Przytułku Starców i Kalek, ani napędzić. Mają wszystkie wygody... wołą głód nad tę—jak ją nazywają—niewolę. Dziady włóczyć się potrzebują, choćby po słoście i bez chleba... Co to za nieokrzesanie, co za nałogi szkaradne!...”

„Spotkałam na drodze starego Matysa i połajałam go, czemu nie siedzi w przytułku.

— „A, proszę jaśnie pani — odparł — albo to ja co przewinił, żeby mnie na klucz zamykano?... Już wolę spać na deszczu, byle na boży świat patrzeć i swobodnie powietrzem oddychać... W przytułku ani się rozsmiać, ani zagadać...”

„Dziwni ludzie. Co tu poradzić na to! Matki tego nie rozumieją. jakim dobrodziejstwem ochrona, woła by dzieci z psami i kurami cały dzień w podwórku siedziały...

„Ekonomowa w Hraźni straciła męża. Jest już temu trzy miesiące; zastałam ją jeszcze zapłakaną, we łzach i kontemplacyi nad starą czapką nieboszczyka... Doktor mi mówił, że ten żal niebezpiecznie wpływa na jej zdrowie; starałam się ją zgromić i dowieść, że takie przywiązanie do istoty śmiertelnej jest grzeszne... że tak się kochać nie godzi... Położenia jej śmierć ta ani pogorszyła, ani zmieniła...

— „Paniusiu moja, rzekła z płaczu się zachodząc — jeśli to grzech, niech ja idę do piekła, a kochać mego biednego przestać nie mogę.

„Zupełny szal... Żal mi jej ale to słabość nie-darowana...

„Jak można się tak przywiązywać do mężczyzny!! Nie rozumiem...

„Z tą miłością spotykam się na każdym kroku — wstręt we mnie obudza. Jest to przyczyna wszystkich nieszczęść na świecie

„Jeżeli już koniecznie ludzie się żenić mają, powinni, jak Hernhuci losami sobie brać żony. Małżeństwo powinno być spełnieniem obowiązku, a nie romanssem. Naówczas i tej chorobliwej miłości by nie było i wieleby się cierpień z rozmarzenia niepotrzebnego wynikających uniknęło...

...„Patrzę znowu na obraz mej matki. patrzę na nią i przypominam jej życie, ilekroć ciężar mojego czuć mi się daje. Przecież ja szczęśliwsza jestem od niej — pani własnej woli, spokojna... Nie brak mi uic mogę nawet fantazyom moim dogodzić... (Cóż więcej potrzeba?

„Dziś przyszły mi sztychy, których tak bardzo pragnęłam. Weigel w Lipsku choć drogo, potrafił mi dostarczyć wszystko niemal, co było zapisane... Z razn

ucieszyłam się niezmiernie... Oblęcki, który rozpakowywał, zdawał mi się nad wyraz wszelki niezręczny i rozlazły... Godzinę może trwało napawanie się...

„Umyślnie zwracałam na siebie uwagę, do wieczoru wyczerpało się zajęcie — wróciła ta nuda i czczość, która mnie męczy — czczość — *voilà le mot*. czczość. Jestem jak ci chorzy na nienasycony głód. którzy jedzą nieustannie. a nigdy najęść się nie mogą. Zkąd to pragnienie? którego nic nie zaspakaja?

„Muszę coraz nowych szukać pokarmów...

„Ksiądz Otto w religii każe mi szukać pociechy... Znalazłam ją w niej nieraz i jest to jedyna skuteczna — ale na każdej karcie ksiąg świętych spotykam... kochaj bliźniego, a ja — kochać nie mogę... Spełniam względem niego obowiązki... po cóż tu serce?...

...„Zdaje mi się to dziwnem w moim wychowaniu. że wcale bałamut nie jest... Umyślniem się dowiadywać starała o to. Pułkownik mi mówi, że w zapusty bywał na zabawach w sąsiedztwie, że ze wszystkimi pannami chychotał, tańcował. że się bardzo podobał, że go kokietowały. a wyszedł z tej gorącej łaźni zapustnej — nie zajmąwszy się nikim...

„Umyślnie o to potrąciłam w rozmowie — żartem się go zapytując. czy serca nie zgubił? Zarumienił się i milczał długo, zapewniwszy mnie, iż wcale nie myśli niem rozporządzać...

— „Ja bo — rzekł — choć sam niewiele wart jestem. a mam tę wadę, że wymagam dużo! dużo!

„Byłam ciekawa ideału jego. — To się nie daje określić, ani zregulować — rzekł — ja sam nie wiem czegobym wymagał, jak się ta doskonałość nazywa, ale tegom pewien. że gdy ją spotkam, poznam ją po rąbku sukni. po szmerze jej chodu. po cieniu, który rzuci za sobą, po woni jej włosów...

„Sniął się z tej improwizacyi. i pożartowałam trochę z niego. Spoważniawszy najuroczyściej mnie

zapewniał, że wcale o ożenieniu nie myśli. Tak lepiej... ożenienieby go uczyniło natychmiast powszednim człowiekiem...

„Jest to rzecz dziwna. jaki urok na młodość i dziewictwo... jak ludzie wprzężeni do pługa, brzydą, głupieją, maleją. Jestem pewna, że ten pan Robert w rok po ożenieniu będzie takim szlachcicem nieznośnym, jak Zarzniczy i Posępalscy...

„Poezya we wszystkim trwa tylko ile młodość... A! nie trzeba starzeć nigdy... to zbrzydza... a brzydota, choćby charakterystyczna. jest wstrętliwa... Ale czyż ja mam prawo o poezyi mówić i sztuce? gdy oboje na pół przynajmniej z uczucia płyną??

„Mam prawo... Jestem widzem spokojnym sceny świata. Siedzę w mojej łoży wygodnie. Któż mi zabroni aktorom przyklasnąć lub z nich szydzić... Gdyby mi widowisko i sąd o niem miał być wzbroniony — to już chyba do klasztoru.

„Ks. Otto mówił mi kilka razy, że ja jestem na ksienie stworzona...

„Z tem jednak poczekać trzeba... Nie miałam życia, tylko jego widowisko — niechże posiedzę w mej łoży...

...„Odczytuję mój dziennik i mam ochotę powydziierać karty z niego... Tyle sprzeczności w nim — może we mnie samej? Taka jeszcze nierówność usposobienia, niedogaszone uczuć szczątki. Bronię się im. a opanowują mnie podstępnie, nieznacznie.

„Toż samo jest z zasadami i ideami ks. Ottona. Nie zawsze umiem się zgodzić z niemi. Wieczny ja kiś bunt we mnie... Zawsze czegoś zakazanego się zachciewa. To słabość natury ludzkiej, którą przecież należy zwyciężyć...

„Miłość się mści na mnie, że jej nie chcę serca otworzyć...

„Zmysły moje są jeszcze nadto wrażliwe, wiosna każda napełnia mnie jakimś niepokojem. jak gdybym była głupią brzozą. która ma puścić liście zielone.

„Te zapachy wiosny, te piosenki w powietrzu, ten ruch wszędzie budzący do nowego życia, do nowej śmierci — działa nieznosnie na człowieka, niepokoi go. Potrzeba się wyzwolić z tych więzów natury, to niewola. Jak może być, aby na istotę rozumną, miało prawo działać powietrze, pokarmy, słońce? Mnie to gniewa... Dawniej, o ile sobie przypominam, pory roku nie czyniły na mnie tego wrażenia — były mi obojętne; dla czegoż teraz, gdy jestem starsza, pozwalają sobie panować nademną? Trzeba się z tego wyzwolić. Co to mnie ma obchodzić, że słowiki śpiewają ślubne piosenki, że rozkwitają rozkoszą jakąś drzewa, że ten świat złudzeń i znikomości, na którym nic nie trwa, odegrywa wiekniącą scenę młodości chwilowej, kończącej się zniszczeniem i śmiercią...? Umyśliłem wyszła do ogrodu narazić się, nastreczyć na te wrażenia, aby mózg walczyć z niemi i zwyciężyć je.

„Wróciłam z bólem głowy i niewysłowioną tęsknotą.

„Ten widok najweselszych nawet godów świata jest bolesny... Wszystko się pożera, zabija, karmi życiem, przeradza, ginie... Nic nie trwa... I tak się to powtarza jedno, jedno, do nieskończoności... zawsze okrętnie jedno...

„Trzeba być zupełnie zamkniętym w sobie i terazniejszości, aby znieść życie... Myślę, że ci prości ludzie, co nie rozumieją, nie badają, a tak sobie żyją tylko, trochę po zwierzęcemu, są bydlęcą najszcześliwsi... Nie widzą, jak się śmierć zbliża, nżywają każdej chwili, nie zatruwając jej sobie jutrem...

„Nic mi dziś nie smakowało...

„Rubaczek grał na organach szkaradnie... Oblęcki czasem ma takie osobliwe ośztuce pojęcia, że w każdym obrazie, w każdej szkole widzi jakąś nową stronę objawu piękna... Zachwycą się dziś Fra Angelikiem, a jutro Vernet'em... W najszkaradniejszej bazgrani nie szuka czegoś odznaczającego się, jakiejs myśli, —



i znajduje ją. Zgromiłam go za to, że nawet n Laisresse'a coś pochwalił... Pułkownik mnie dziś nawet znudził swą pokorą i uwielbieniem dla mnie. Wolałabym, żeby mnie był połajał... Hortensya widząc mnie, jak ona powiada, w złym humorze, była słodka. nienaturalna, a w tej dobroci jej czuć było litość. Nie cierpię litości. Przecież jestem zupełnie szczęśliwa... chociaż dziś głowa mnie boli. Kanonik chciał mi zrobić z tego skrupuł, że czytam Montaigne'a... Na to jedno nie pozwolę. aby mi, jak pensyonarce, wyznaczono lekturę.. Takiego despotyzmu zniesć nie mogę. Chcę panować sama nad sobą. nie życzę sobie. by drndzy panowali nademną...

„Są takie dni w życiu nieznosne. długie i nieprzeżyte. Robert przyjechał i z kwadrans w gaudium się śmiał rozmawiając z Karoliną, którą uszczęśliwił. Gdy wszedł, dałam mu poznać, że mi się to nie podobalo. Karolina jest dziecinna, ograniczona, sentymentalna do śmieszności. gdyby nie była sierotą. pozbyłabym się jej z domu. tak mnie niecierpliwi. Jeśli nie mówi, to patrzy patetycznie... oczy pełne łez i rumieniec na zawołanie...

„Wczoraj ten ból głowy musiał mnie też dla drugich uczynić nieznosną... Robert bardzo prędko wyjechał. gdy właśnie miałam go połajawszy. rozpocząć rozmowę. Jego naiwność jest czasem dla mnie lekarstwem nawet na taki ból głowy...

„Dzisiaj rano przysłał się spytać o moje zdrowie, sam nie przyjechał... Pułkownik mi mówił, że ma jakies zajęcie pilne około gospodarstwa... Ma być bardzo szczęśliwym i dobrym gospodarzem... Lubi lasy i pola. sam mi to mówił; lubi wiosne, której ja nie cierpię...

„Wiosna jest przesadą.. ludzie sobie wmówili. że to ładne i wesołe... Wolę jesień. wolę zimę, więcej obie mają tego spokoju. którego dusza pragnie. (Chłodno, zimno, ciemno.. nie jestże to naturalniejsze nad ten ruch gorączkowy, bezrozumny i bez celu.

Żyć, rosnąć, aby się dać zjeść... Czyż warto?... Ale patrzeć z dala na to widowisko, nie biorąc w niem czynnego udziału— to właśnie życie moje. Innego nie pragnę... W tłum się wmieszać i cisnąć z nim razem do publicznego źródłu?"

---

Było zwyczajem w Ruszkowie, że choćby tu książę przyjechał udzielny, nic się nie zmieniało w powszednim porządku domowym. stół był zawsze jeden, wyjąwszy dni świąteczne, tradycyjnymi u nas zwyczajami odznaczone. Kuchnia, piwnica, ogród dostarczały materyałów do programu, nie troszcząc się o gości... Panna Ada stała przy tem, jak przy zasadzie i gniewała się nawet, jeśli kucharz własnym pomysłem, dla gości coś przyczynił. Zaproszenie więc majora na obiad nie pociągnęło za sobą żadnych przygotowań.

Gospodyni tak samo nie ubierała się nigdy dla gości, ale według swej fantazyi, czasem wytworniej, niekiedy z zaniedbaniem pozornem, zawsze z wielkim wdziękiem. Lubiła być piękną... i była nią, bo wiek najmniejszego śladu nie wycisnął na niej. Nie miała też jeszcze lat trzydziestu. Charakter tylko energiczny, samoistny nadawał całej twarzy i postawie coś pańskiego, trochę sztywnego — oznajmującego, że ciągle pilnowała siebie i pamiętała o sobie.

Zdziwiło to niepomалу wszystkich, że tego dnia, gdy się majora z synem spodziewała, panna Pretwiczówna, wstała raniej, sama kazała odświeżyć bukiety i od niechcenia, napomniała kredencarza, że srebra

wystawniejsze są do używania, a nie do chowania ich w szafie, że od czasu do czasu przewietrzać je trzeba. W salonach znalazła niedosyć porządku, poprawiono kilka rzeczy, przestawiono małe sprzęty. Ludzie, co jak panna Hortensya, na wszystko mają oko, wnet postrzegli tę nieznaczną zmianę, i wnioski z niej sobie ciągnęli. Zawołano piwnicznego, co się też niezmiernie trafiało rzadko i sama pani kazała mu dać parę butelek starego węgrzyna. — który ludzie starzy lubią. Było to niesłychaną dystynkcyą dla gościa — jakiej sobie nie przypominano.

Mówiliśmy już, że cały ten dwór panny Pretwiczówny był z sobą w niesnaskach i kłótni. Wyjątek stanowił tylko Musiatowski, na którego panna Hortensya, choć go waryatem nazywała, dosyć była łaskawa. Nosił jej plotki i pomagał do wyśmiewania reszty.

Musiatowski któremu świat i jego geniusze wydawały się tak śmiesznymi i nikczemnymi, który nie mając przed kim się wylewać z goryczą, jaka w nim wzbierała, chodził czasem po ogrodzie, głośno rozmawiając sam z sobą i śmiejąc się do rozpuku, — wkraadał się też niekiedy do pokoju panny Hortensyi dzielić z nią swojemi obserwacyami. Udaowało mu się czasem coś podpatrzeć w istocie, częściej wymyślał coś nedorzecznego na swoich towarzyszach, a był tak poufale z panną Hortensyą, że przed nią nawet na samą panią domu niekiedy coś szepnął. Nikogo pocziwa panna Hortensya w duszy tak nienawidziła, jak tej kuzynki, z której łaski żyła... W jej oczach była to istota pełna egoizmu, dumy, fantazyi, zarozumiała i bezrozumna. Nic jej bardziej gniewać nie mogło, niż ta cześć powszechna i korzenie się przed Adą — które dwór cały wyznawał.

Appartement od dawna zajmowany przez pannę Trocką, wybrany był jak najstarszemu i jeden z najwygodniejszych w pałacu. Oprócz saloniku, miała, pokój sypialny, gabinet i mieszkanie dla służącej

istnej meczownicy... dosyć często zmienianej. bo żadna przy niej długo wytrzymać nie mogła. Panna Hortensya, skutkiem ciągłych starań o to, jak najpiękniejsze stare meble zgromadziła dla przybrania swojego saloniku, a że miała wiele, ocalonych z rozbicia fortuny rodziców, kosztownych fraszek, porcelany, szkła, pucharów, zegarów... ubierało to hardzo okazaźnie jej mieszkanie. Mała pensya, którą pobierała od rodziny, dary panny Ady, skąpstwo niezmierne dozwalały jej i ubierać się i występować daleko piękniej, niż na rezydentkę przystało. Miała i klejnocików trochę i łańcuchy, i pierścienie a choć wszystko to nosiło cechę nie nowa — tem więcej oczy zwracało. Panna Hortensya lubiła opowiadać, że dziadek jej za zegarek swojego czasu dwieście dukatów zapłacił, że za łańcuch dał sto pięćdziesiąt, że soliter, który nosiła na palcu, był nieocenioną pamiatką po wojewodzie, ofiarowaną mu przez Augusta II i t. p.

Pokoik panny Hortensyi w istocie zajmujący był temi szczątkami przeszłości. Komódki wykładane mozaiką drewnianą, stoliczki z bronzami, zegar honle, szafa rzeźbiona i markieteryą ozdobiona, zapępniały wszystkie kątki. Największą dumą jednak napępniała ją szyta na aksamicie portyera z herbami, wypłowiała, która bez potrzeby rozwieszona była na ścianie, niby okrywając drzwi. — a tych tam wcale nie było. Wskazywać ją mogła właścicielka, jako robote swej babki, z domu księżniczki Massalskiej. Druga ściana obita była makatą wystawiającą historję Dańny w laur przemienionej, szarą, spłowiałą, ale przepyszny rysunku. Kawałek ten gobelinu także na setny dukatów był ceniony...

W tym przybytku dawnych pamiątek, nieszczęśliwa, skwaśniała, zjedzona niechęcią ku całemu światu, pędziła dni swe żółcią zatrute panna Hortensya.. Najmilszem jej zajęciem była rozległa korespondencya, która pilnie prowadziła z rozgałęzioną niezmiernie rodziną, pełną dowcipu złośliwego i ucinków.

Tej korespondencyi poświęcała znaczną część dnia. chociaż nie zawsze na swe listy otrzymywała odpowiedzi.

I tego ranka, ubrana siedziała u biurka. zawzięcie zapisując już trzecią ćwiartkę bujnym swym charakterem — gdy ktos odkasznął za progiem. Poznała głos Musiatowskiego, i odwróciwszy głowę zawołała:

— Proszę.

Z uśmiechem na ustach wsunął się niezgrabny drażał. przechylony jak zawsze. tak. że jedno ramię wydawało się wyższe od drugiego. i mnąc czapkę w rękę — począł powtarzać od progu.

— Nie przeszkadzam! nie przeszkadzam!

— Ale mi WPan nie przeszkadzasz — protektorsko odezwała się składając papier panna Hortensya. Spojrzała mu w oczy, i cicho dodała:

— Cóż tam nowego?

— Cha! cha! — zaśmiał się, ręką usta przysłaniając Musiatowski. a potem palcami wskazując w stronę pokojów głównych panny Ady — wielkie przygotowania na przyjęcie wielkich gości. Jak Boga kocham...

— Jakich gości? WPan wiesz, że u nas i dla króla się przygotowań nie czyni — odezwała się Hortensya.

— Tak. dla ojca pana Roberta!!

Musiatowski wargi wyduł, oczy wytrzeszczył, rękę jedną podniósł do góry... — Ho! ho! to figura — jak się okazuje!

Po cichu kilka kroków ku biurkowi się zbliżył. widząc, że panna Hortensya słucha go z uwagą namiętną.

— Sama pani kazała kredencierzowi srebra wielkie. przewietrzyć — ogroduikowi kwiaty odświeżyć. a Zamiszyskiemu dać starego węgrzyna. którego i my też — ekstra święconego powąchamy...

— Któż ci to mówił?? — spytała panna

— Ano — cały dwór już o tem mówi, boć to przecie cos znaczy. Pani dobrodziejka najlepiej to wie. Czyż to bez kozery?

Panna Hortensya sama nie chcąc ciągnąć wniosków, życzyła sobie dowiedzieć się, jakie vox publica z tego czyliła... prognostyki..

— Jakaż to ma być kozera? — zapytała mierząc go oczyma.

— Cha! cha! i śmiejąc się szepnął Musiatowski — alboż to pani mam tłumaczyć? pani, której oczko wszystko widzi. nszko wszystko słyszy, a rozum wszystko... pojmuje..

— A jakże to pan Musiatowski tłumaczy? — nalegała panna

— Musiatowski, jaki on tam jest to jest w sobie — i jak tam go potomość osądzi... ale tu, w Ruszkowie, robak mizerny, gryzipiórek lichy, - - czyż takiemu nędznemu Musiatowskiemu godzi się oczy podnosić na to, co czynią bogowie!... Ja — nie wiem nic...

Wstała od biurka panna Hortensya zamysłona..

— Cóż więcej? — zapytała.

— Nic... tylko, że we dworze, na sygnał dany, jakbysię nie wiem kogo spodziewano. taki ruch... Rozumie pani... Cóż to za figura ten pan major? Bohater jaki?

— Nie słyszałam, żeby się czem tak nadzwyczajnie odznaczył — odezwała się złośliwie, ramionami poruszając panna Hortensya — wiem tylko, że to ojciec pana Roberta..

Powiedziała to z wielką seryą, Musiatowski na nią spojrzał. skrzywił się jak do smiechu, głowę oburącz zatulił, ale wnet, niby sobie przypomniawszy decorum należne, wyprostował się i komicznie poważną przybrał postawę.

Panna Hortensya chodziła po pokoju. pół roztargniona. pół zamysłona... Sekretarz głową trząsał smutnie, nie mówiąc słowa...

Po długim przestanku. ni z tego. ni z owego, jak gdyby kiwanie głową coś wypowiedziało. jakby się mówiący milczeniem porozumieli, Musiatowski zawołał:

— Tak — tak — zobaczy pani!! zobaczy... Nie unikniemy tego... słowo daję!

I spuściwszy oczy. czapkę pomiecią wyprostował. skłonił się żywo i wyszedł. Przeprowadziła go oczywiście do drzwi panna Hortensya — rozmyślając pewnie nad tem, co jej zwiastował. List rzuciła do szuflady. którą zamknęła. wzięła narzutkę. jakby chciała wyjść z pokoju — lecz gdy kroki z dala się słyszeć dały. wstrzymała się.

Z kapeluszem w ręku. z ładnym bardzo brewiarzykiem. pełnym jedwabnych szytych zakładek. w rekawiczkach czarnych, przestębnowanych liliowym jedwabiem. wszedł zamaszysto i poufale ks. kanonik.

— Przychodzę pannę kasztelanę pożegnać (tak ją przez grzeczność tytułował, choć ojciec był tylko kasztelanicem) — muszę jechać do Brzescia..

— Jak to? bez obiadu?

— Na obiad niepodobna mi czekać, prosiłem o śniadanie — jadę dla dyrygowania rekolekcyami naszych duchownych... a to jest ważniejsza missya. niż inne — rzekł ks. prałat...

— I tak — od uroczystości naszej, hrabia cieka? (Wyzwajemniając się kasztelanem. nie zapominała o tytule hrabiego)...

— Od jakiej uroczystości?

— A dziś! dziś przecież... tout est sur pied. aby godnie przyjąć ojca pana Roberta...—dodała panna Hortensya z szyderstwem.

Ksiądz się zmarszczył..

- Rzeczywiście — zaczęła zbliżając się panna Hortensya i głos zniżając—nasza biedna Ada od rana słyszę contre tous ses us et coutumes. lata. napędza i dysponuje...



Położyła palec wyschły na nosie...

— Tak, tak — mówiła — nie trzeba zasypiać. Księżę pralacie dobrodzieju — bo jest, jest i nie omyliłam się w mej dyagnozie. rzeczywiste jest niebezpieczeństwo!... Ta stałą okryta heroina nasza, której żaden pocisk dotąd nie dotknął, która wysmiała, wzgardziła księciem C... — która porozpędzała tak miłych, przyzwoitych, urodzonych wysoko, wychowanych świetnie, jak Władzio, Artur, Wiktor... *tutti quanti*, — ta amazonka, co się zaklinała, że mężczyzny żadnego w świecie znać nie chce — ta... nasza droga Ada... została zwyciężona przez — ładnego parobczaka. *C'est que c'est de nous! Hélas!*

Załamano rękę — kanonik milczał.

— A nie jest to tylko przywidzenie? — spytał.

— Albo ja nie mam najmniejszej znajomości niewieściego serca, choć jedno z nich w sobie noszę — pośpieszyła panna — albo są oznaki, które wątpić nie dozwolają, że się coś nadzwyczajnego gotuje... Przewrót! metamorfoza! Ona sobie może z tego sama nie zdaje sprawy... ale się kocha... kocha się... Im upartszą jest i samotniejszą być nawykła, tem niebezpieczeństwo większe...

Milczeć i pusić jej cugle... no to zajdzie aż do ołtarza... Sprzeciwiać się... jeszcze gorzej... na przekór gotowa postąpić. Słowem... *c'est grave*.

Kanonik nie okazując najmniejszej zmiany na twarzy, stał posepny...

— Należy — szepnął — obserwować najprzód — i faktem być pewnym. *Nous avertissons.*

— A tak — żywo pośpieszyła Hortensya. — Gdyby nieszczęśliwa Ada miała popaść w tę haniebną niewolę, naówczas wszystkie wielkie, święte pomysły księdza hrabiego... wszystko to, co z jej pomocą miało się spełnić — przepadło... To sobie z góry powiedzieć trzeba...

— Ażeby panna Ada miała tak lekkomyślnie sobą rozporządzać i kłamstwo zadać całemu życiu — nie —

to niepodobna! — rzekł kanonik — *Après tout*, zostawiam panią na straży...

Sklonił się z lekka, panna Hortensya pośpieszyła go w rękę ncałować... i szepcząc mu cos jeszcze, przeprowadziła aż na ganeczek. który z jej mieszkania wyprowadzał do ogrodu...

Tu, choć ks. Otto się oddalił, jakiś czas wstrzymwała się, oczyma dokoła wodząc. Stary Habicht, ogrodnik jeszcze z czasów matki dziedziczki, który nazwisko tylko nosił niemieckie — w niezmiernie długim surducie, pończochach i trzewikach, w czarnej mycce na lysej głowie, zbliżał się, niosąc bukiet ogromny w rękę, kn domowi. Był to człek powolny, dobrego zawsze humoru, rodzaj filozofa, wielce poważny... i z wyjątkiem panny Ady. mało tu na kogo uważający. Pannę Hortensyę zobaczywszy stojącą w ganku. dotknął zaledwie ręką czapeczki... i szedł dalej.

— Komuż to pan Habicht taki śliczny bukiet niesie? — zapytała.

Stary stanął i popatrzał na nią.

— A jak się pani zdaje? Dla kogożbym to ja scinał najpiękniejsze moje kwiaty. i to jeszcze najpierwsze. z których nasienie najlepsze? he?

— Alboż ja wiem? Pan Habicht może się kocha?

Ogrodnik nie był żonaty... Uśmiechnął się...

— Powiem pani jedno—począł z powagą—oto, gdybym się zakochał na stare lata—a to się też trafia — czy pani myśli. że taki bukiet dałbym mojej pannie? Nigdy w świecie...

Tylko dziedziczka ma prawo życia i śmierci nad temi poddanemi swemi. Kazano bukiet przynieść — słucham. Nie dałem go robić Kondratowi, boby mi pokaleczył moje wychowanki.

Westchnął...

— A cóż to się stało Adzie, że takie popelnia okrucieństwo? — spytała panna.

Ogrodnik z wolna oczy podniósł.

— Masz pani słuszność — rzekł — okrucieństwo... Jestem u niej w służbie od czasu jak objęła majątek— wie pani. wie? — zostawiała mi zawsze swobodę dawania lub oszczędzania kwiatów—dziś—kazała!! słyszy pani! kazała!!

To mówiąc zdjął aksamitną czapeczkę, skłonił się, minę zrobił dziwną i odszedł ku werandzie pałacowej, przypatrując się swym kwiatom.

Małenka ta pozornie okoliczność, tak potwierdzała postrzeżenia, których pani Hortensyi udzielił Musiatowski, że po krótkim namysle wróciła do swojego pokoju i niezwłocznie się ubierać zaczęła... To co słyszała i widziała, oddziaływało nawet na zwykły strój starej panny: chociaż niecierpiała Ady i rada się jej była sprzeciwiać, na ten raz uznała za właściwe ubrać się wykwitniej, aby okazać, że jej myśl odgadła. Było w tem i trochę szyderstwa, i odrobinę złości, i może trochę miłości własnej.

Ubierała się panna Hortensya zawsze czarno i poważnie, lecz strój ten małemi datkami, dawał się urozmaicać i zmieniał charakter.. Narzuciła na ramiona koronkową przepyszną staroświecką chustkę, na szyję wzięła łańcuch kosztowny, a do boku przypięła emaliowany i kameryzowany zegareczek, arcydzieło sztuki paryzkiego, bardzo pięknie zachowane. Wszystko to zwykło było występować tylko w święto, była więc pewna, że Ada postrzeże to nadzwyczajne ubranie — i zrozumie je.

Nie czekając zwykłej godziny, wyszła z książką w rękę na pokoje—i siadła niby czytać u okna. W istocie było to jej stanowisko obserwacyjne, z którego Adę wychodzącą ze swych pokoiów i każdy jej ruch mogła widzieć wygodnie.

Gospodyni zwykle wychodziła dosyć późno. Z rana przechadzała się po ogrodzie, pracowała w swoim pokoju, siedziała w bibliotece. Tego dnia, nie omy-

liła się przebiegła kuzynka. Ada wyszła wcześniej, widocznie ożywiona bardziej niż zwykle. z różą we włosach, a choć snknę miała czarną, poznała panna Hortensya, że była nowa... W całym stroju widać było staranie wielkie o elegancye.

Jeszcze niepostrzeżona, bo ją część franki zasłaniała — widziała panna Hortensya, jak Ada pilnem okiem rzuciła po pokojach, zbliżyła się do bukietu Habichta i poprawiła go. przesunęła kilka mebli — przełożyła kilka albumów, i dopiero zbliżywszy się ku sali — dostrzegła siedzącą, w czytaniu zatopioną kuzynkę. Nim się odezwała Ada, zmierzyła ją okiem i zobaczyła w ubraniu odmianę: rumieniec jej na twarz wystąpił. Z pozorną obojętnością zbliżyła się do siedzącej — zaczęła się jej przyglądać baczniej — i odezwała po chwili.

— *Widzę que vous avez fait des frais de toilette pour le major. j'estem ci za to wdzieczną, obcy zupełnie człowiek... trzeba, żeby nas nie wziął za ba i bardzo.*

Hortensya oczy podniosła nie wiedząc co odpowiedzieć; spodziewała się nadąsania...

— Sama nie wiem zkad mi przyszło to włożyć — dodała syczącym głosem. Czasem te pamiątki dawnego lepszego bytu potrzebuję dobyć, aby się nimi pocieszyć w smutnej terażniejszości. Pozwól i mnie mieć czasem fantazyę.

— A! czyż ja ci ich zabraniam! — odezwała się Ada śmiejąc. *Je suis de bonne composition. mam sama tych fantazyi do zbytku...*

Oczyma powiodła po salonie... jakby się pytała sama siebie — czy to dosyć pięknie i dystygowanie wygląda?

Hortensya siedziała milcząca...

W tem drzwi się otworzyły i wpadła, nie spodziewając się tu tych pań zastać. Karolina... Zawahała się trochę w progu. Ubrana była bialo. świezo.

i to ją czyniło jeszcze młodszą. Oczyma trochę przestraszonymi powiodłszy po salonie, chciała się cofnąć...

— Karnsiu! czegoż chcesz? mów? — zawołała Ada...

— A — nie — myślałam... ale nic — nic... Chciała się wymknąć nazad co prędzej. aby uniknąć niezbednego kazania, gdy Ada zawołała ją, wpatrując się w ubranie.

— Moje serce, ustrój się jak chcesz — ale, zmiłuj się — nie tak... nie tak... bijącą w oczy... Masz minę jakbyś na bal jechała... Biała suknia! proszę cię...

Karusia zarumieniała się.

— Ale... cóż mam włożyć? doprawdy...

— Co chcesz... co chcesz... tylko nie tę przy całej swej prostocie tak pretensjonalną sukienkę.

Dziewczę zarumieniało się, i wyszło nie mówiąc słowa.

— Nie chcę znowu — szepnęła Ada — aby myśleli żeśmy się do nich postroili...

— Tak — rzekła śmiejąc się Hortensya — nie trzeba się zdradzać. Postroiliśmy się, ale to powinno być — tajemnicą!! Karusia była naiwną... my starsze...

Nie dokończyła. Ada nie dosłuchawszy też ruszyła ramionami, zbliżyła się do fortepianu Erarda i poczęła na nim powoli prawą ręką grać chorał jakiś...

W chwilę potem zadzwoniła — wszedł lokaj...

— Czy u pułkownika nie ma gości? — zapytała.

Słyszac to Hortensya zagryzła usta.

— Tylko co. zdaje się, przyjechali panowie z Zahajów.

Chorał grała dalej, przyłożywszy rękę drugą... Było to coś z Paulusa Mendelsolna... grała. ale domyslić się było łatwo, że uchem usiłowała pochwycić szmer daleki... że czekała...

Spojrzała na zegar... Była już godzina bliska obiadowej... Można się było gości spodziewać co chwila...

— Kanonik odjechał?—zapytała panny Hortensyi.

— Zdaje mi się—mówił mi, że musi jechać dla rekolekcyj. Nie można go było nawet na obiad powstrzymać... Na chwilę zaszedł do mnie—smutny był jakiś

— Jadąc na rekolekcyje—cicho odezwała się Ada, ciągle powoli grając chorał — zresztą kiedyż kanonik jest wesół?

— Tak. ale tym razem—dziwnie był posepny...

Nie odpowiadała Ada. w ganku od ogrodu dały się słyszeć głosy, porzuciła fortepian i poważnym krokiem poszła naprzeciw gości.

W istocie oni to byli. Major we fraku. w białej chustce wysoko zawiązanej z paradnym węzłem. w rękawiczkach. z włosami staranniejszemi niż kiedy sprowadzonymi na łysinę i nieznacznie zlepionemi nad czołem tak, aby nie wróciły do naturalnego położenia. Pułkownik w taratatce, ale także z chustką białą na szyi, na ostatek Robert we fraku. dla ojca włożonym. zresztą bardzo po prostu przystrojony i swobodny mimo tego ubrania niezwykajnego. Na nim zawsze jakoś wszystko leżało doskonale i było mu do twarzy... Ada to pierwsza postrzegła...

Major. wewnątrz mocno trapiiony, nsilował humor dobry, żołnierski udawać. dość niezręcznie. Tego dnia, naprzekór ubraniu. wyszwarcowanemu wąsikowi. okrytej łysinie, starszym się wydawał niż kiedy. Twarz miał bladą. zmarszczki na niej zarysowały się widoczniej. troska go wewnętrzna przygniatała.

Z galanterią dawnych czasów i temi ruchami trochę wyuczonymi, które niegdyś stanowiły cechę dobrego tonu. major się zbliżył do gospodyni... Na ustach miał pochwałę pięknego parku, którego część właśnie obchodzili z pułkownikiem...

— Tak, panie majorze — odpowiedziała Ada — nie jest on brzydki, ale wiele lasów i łąk naszych piękniejsze są od niego... choć koło nich nikt nie pracował. Tu nadto widać sztukę...

— A w dawnych ogrodach, jak w Wersalu, widać ją było tylko — rzekł major — i miało to swoją piękność i majestat.

— Tak, ale to były inne ogrody — odparła Ada — ogrody sztuki — my niby naturze zostawujemy swobodę, tylko ją poprawiając trochę. To się nam rzadko udaje...

Proszono siedzieć, wyszła panna Hortensya na ganek i zbliżyła się do Roberta, aby go ukasić jak zwykle. Chłopak wesoło wstał na przywitanie jej...

— Cieszysz się pan z gością — rzekła — i musisz nie bardzo być rad dzisiejszemu zaproszeniu Ady — wolelibyście być sami z sobą...

Z razu Robert nie wiedział co odpowiedzieć... odprowadziła go na stronę, śledząc każdy ruch jego oczu, często zracających się niespokojnie ku Adzie... Nie czekając już odpowiedzi na pytanie, panna Trocka poczęła trochę szydersko zaczepiać chłopaka, który wesoło jej się odcinał, gdy zarumieniona weszła po cichu Karusia, w snkience ciemnej liliowej, nader skromnej. Robert sądząc, że się uwolni od przesłado wczyni, zbliżył się do niej, ale tak była zmieszana, że nie chcąc jej się naprzykrzać, cofnął po kilku słowach.

Ponieważ godzina obiadowa się zbliżała, dwór też ściągać zaczął na pokoje. Wszedł najpierwszy, ciekawy Musiatowski, w ciemnym kącie się lokując, po nim Oblęcki, któremu się zdało że się opóźnił, i wbiegłszy pośpiesznie, odetchnął dopiero, gdy zobaczył, że jeszcze u stołu nie siedziano.

Nieszczęśliwy artysta, do wszystkich dolegliwości i męczarni jakich doznawał, walcząc z nieudolnością swoją — w czasie pobytu w Ruszkowie nabył choroby, z której nigdy się już nie miał uleczyć! Nikt pono w świecie domysleć się tego nie mógł — tak mu



się przynajmniej zdawało... zakochany był w pannie Karolinie... zakochany śmiertelnie, a do miłości człowieka przyłączyło się uwielbienie artysty dla ślicznych rysów, dla nieporównanej świeżości i przezroczystości kolorytu... Pożerał ją oczyma, rysował ją, malował—dał potem i palił te próby... Przerażało go to, że mógł ktoś podpatrzeć, odgadnąć, domyslić się jego rozmówienia... któreby go okryło śmieszością.

Choć uboga, panna Karolina była kuzynką pani domu, a wdzięk jej i młodość czyż nie były skarbami, na które zuchwałem wejrzeć okiem godziło się takiemu jak on robakowi?

Jak Mnsiatowski się przeceniał, tak biedny Oblęcki w pojęciu własnem nie miał najmniejszej wartości... Jakże mu było pomyśleć nawet o takim bóstwie? Oczy jego mimowolnie zwracały się na nią, a dreszcz go przebiegał, gdy przypuścił, że albo ludzie go zgadną, albo ona się domysli... To czyniło Oblęckiego jeszcze trwożliwszym i bardziej roztargnionym... a zarazem nieszczęśliwym. W ciągu pobytu w Ruszkowie, który się już liczył na lata, zaledwie parę razy kilka słów się ośmielił przemówić do pięknej panny, która będąc jak on trwożliwą, ledwie mu też na nie odpowiedzieć umiała. Na ostatek nieco podchmielony wsunął się Rubaczek i dał nurka gdzieś za szafę. Obawiał się, aby oko gospodyni nie wyczytało z jego twarzy, iż już z rana Bachusowi składał ofiary...

Ada w dosyć ożywioną rozmowę o ogólnych sprawach gospodarstwa krajowego, kredytu i t. p., wciągnęła majora. Po trosze dopomagał pułkownik.

Jazyga był niezmiernie zdziwiony, słysząc kobietę tak rozprawiającą ze znajomością zupełną rzeczy, o tem co mu się zdawało dla niej niedostępnem... Po raz pierwszy zaimponowała mu. Major niegdyś czytał Smitha, później innych ekonomistów, zdawało mu się, że w tej gałęzi dotrzymać może nawet hrabie-mu Skarbkowi — tymczasem ze zdumieniem przekony-

wał się, że panna Ada już знаła nowsze dzieła teorye, i mówiła o nich wchodząc w szczegóły, dowodzące, że studyowała ją pracownicie...

Popatrzał na nią milczący—śmiejnęła się.

— Widzę, że pan major trochę się dziwisz, że ja śmiem tak poważnych dotykać przedmiotów—niewłaściwych dla kobiety. Ja to pannę wytłomaczę. Próżnować nie lubię i nie mogę... ciekawość mnie prowadzi... Nie mam nic do roboty... zająć się czemś potrzebą...

Jazyga głowę skłonił w milczeniu. Oznajmiono do stołu, major poprowadził gospodynię, posadzono go przy niej. Była dlań nadzwyczaj uprzejma dnia tego, zaniebując Roberta... Pilnowała tylko oczyma, ażeby go sobie Karolina nie chwyciła, ale Sensytywa była smutna, zamyślona i oczu podnieść nie śmiała. Za to panna Hortensya wtrącała się do rozmowy nieznośnie, usiłowała bawić majora, nie dawała knyzynce swobodnie się z nim rozmówić. Jazyga wzięty tak we dwa ognie, palił się jak na ruszcie, podolać usiłując rozerwanej rozmowie, a w duszy pragnąc, ażeby się to utrapienie jak naprędzej skończyło...

Jawnem było, że panna Ada usiłowała sobie pozyskać grzecznością starego majora, była dlań wyjątkowo uprzejma i miła. Nie mógł jej za to nie być wdzięczen, lecz im bliżej ją poznawał i wyżej umysł jej i nankę oceniał, tem większa go opanowywała trwoga.

W duszy ciągle powtarzał sobie:

— Trzeba ztąd Roberta wyciągnąć... kobieta niebezpieczna... Uchowaj Boże nieszczęścia... przepadł chłopiec, poszedłby pod żelazny pantofel... Strzeż Boże...

A że w czasie pobytu w Zahajach przekonał się, iż Robert miał nie tylko szacunek, ale admiracyę dla panny Ady niepokoił się coraz bardziej.

— Dyabeł nie śpi - - mówił w duchu. Choć nie ma dotąd podobieństwa, aby taka arystokratka miała mo

jego pocziwego symplicynsza pokochać—ale—a nuż?? Weźmie go od razu, zrobi z nim co zechce... Nie! trzeba z chłopcem uciekać.. Bezpieczniej to niż się narazić na nieszczęście...

To go utwierdzało w postanowieniu niezmiennem przeniesienia syna do Żabliszek, a osiedzenia samemu w Zahajach .. Za pretekst mogła między innymi służyć chęć zbliżenia się do starego kolegi. a razem przygotowania Roberta do gospodarstwa na majątku, który miał odziedziczyć.

Szepnął o tem już był. przygotowując grę Robertowi—a tego dnia myśl swą odkrył pułkownikowi. wprowadziwszy go na stronę.

— Drogi mój. stary przyjacielu — rzekł do niego — tęskno mi ku tobie. — Ot. myślę sobie. niewiele nam już lat zostało... Oddam Zabliszki Robertowi, niech on gospodaruje na ojcowiznie. a ja się do Zahajów przeniosę. To dopiero będziemy się zagadywać o dawnych czasach!..

Uściskał go za to pułkownik. myśl mu się zdawała przedziwną — chociaż dodał, że i Roberta im żal będzie.

Po obiedzie towarzystwo się ugrupowało inaczej. majora zabrała panna Hortensya. opowiadając mu. z okazji łańcucha. o świetności swego rodu... Pułkownik zbliżył się do drogiej pani. Właśnie wypadł jakiś interes, o którym potrzebował jej dać wiedzieć. Ada była szczególnie roztargniona i ledwie go słuchała...

— Jakże się pani mój pocziwy major podobał? spytał po cichu pułkownik

— Bardzo... Wy jesteście oba typami swojej epoki. która już znikła i w kilku zaledwie reprezentantach pozostała...

Major wszakże innym jest jeszcze... różnym od ciebie. kochany pułkowniku... a nie mniej sympatycznym człowiekiem. Co za macierzyńskie niemal przywiązanie do syna!...

— To prawda! zawołał pułkownik. Żyje nim tylko, myśli o nim... Wie pani co? Z początku dziedziczny majątek w Grodzieńskim zostawił był sobie — teraz, żeby syna zupełnie już wyemancypować— chce mu rezygnować dziedzictwo... a sam się na dzierżawę przenieść do Zahajów. Zdaje mi się, że radby go ożenić!

Mówił to, nie otrzymując odpowiedzi długo, i w końcu spojrzał na stojącą przed sobą Adę. Uderzyła go bladłość jej twarzy, jakieś pomieszanie, zmiana rysów, coś jakby nagle, niespodziane, za silne, aby skrytem być mogło, wrażenie... Zmiarkowawszy, że troskliwy pułkownik przypatruje się jej niespokojnie, panna Pretwiczówna przyłożyła rękę do twarzy...

— Okrutnie mnie ząb zabolął — rzekła — ale już przechodzi...

— Wody może?

— Nic—nic—proszę cię, nic—to w chwili ustanie... Mnie się to trafia—ja to znam, ból gwałtowny bardzo, ale krótki... Już go nie ma.

Jakoż wkrótce twarz jej odzyskała wyraz spokojny.

— W istocie, seryo—major ma taki zamiar? odezwała się wracając do rozmowy.

— Mówił mi o tem, jako o rzeczy postanowionej...

— Będziemy mieli miłego bardzo sąsiada, chłodno poczęła panna Ada.. pan się szczególniej cieszyć tem możesz... ale dla Roberta... ja nie wiem czy to dobrze, że ojciec go tak rychło chce żenić...

Robert jest jeszcze tak dziecinny niemal, tak szczęśliwie młody, tak mu dobrze z tą jego młodością, że nie godziłoby się zawczasu mu więzów narzucać... Po chwili milczenia, Ada dodała:

— Tak mi się zdaje... Pułkownik, który kochasz pana Roberta, powinienbyś tę uwagę uczynić majorowi. Tu u nas nie ma dlań niebezpieczeństwa, bo wątpię żeby

się w Karusi zakochał, w sąsiedztwie panien mało — a w Grodzieńskim pewnie pochwyta biedaka i zakuja. Żal mi go. Ojciec ze zbytnej miłości... trochę jest zaślepiony.

Zwróciła się raz jeszcze ku pułkownikowi i dodała: Pułkownik mu to powinienbyś wyperswadować.

Gdy odeszła. Brandys, który stał w miejscu nieporuszony, postrzegł, że z niezwykłą żywością i pospiechem podążyła wprost do Roberta rozmawiającego z Oblęckim.. W kilku słowach wmieszała się do ich rozmowy — i bardzo zręcznie pod pozorem przechadzki po salonie, wprowadziła młodego Jazygę za sobą.

Był w najlepszym humorze. Uprzejmość okazana jego ojcu napełniała go najżywszą wdzięcznością; wzmogło to jeszcze nadzwyczaj uwielbienie dla Ady; w oczach, w ruchach chłopaka malowało się ono aż nadto wyraziście. Ona sama nie mogła się poznać na uczuciu, jakie natchnęła; wiedziała, że ma moc nad nim...

Jak tylko od malarza odeszli. Robert nie zważając na to, że na nich patrzano, schylił się do ucałowania jej ręki. podanej mu tym razem niechętnie i z pewnym oporem i wahaniem...

A, pozwólże mi pani sobie podziękować, rzekł, za takie łaskawe przyjęcie mojego ojca! Nie prawdziwie pani? nie jestże to najlepszy z ludzi?...

Ada uśmiechnęła się.

— Po cóż mi pan dziękujesz? — odpowiedziała chłodno. Poznanie go sprawiło mi prawdziwą przyjemność. To ja wdzięczna jestem za tę miłą chwilę... Ojciec pański nie tylko dobrym, ale rozumnym jest człowiekiem... Jednakże panie Robercie — będę musiała mieć żal do niego.

— Jakto? za co? podchwycił zdumiony chłopak.

Rozmawiając wyszli nieznacznie do przyległego małego saloniku, gdzie ich nawet wejrzenie chciwie panny Hortensyi ścigać nie mogło

Ada była dziwnie usposobiona — wzięła za rękę Roberta i spojrzała mu w oczy...

— Czy to prawda, że mi pana chcą odebrać i przenieść gdzieś w Grodzieńskie?

Pytanie było rzucone z taką życzliwością, szczerością, z takim zapomnieniem się, że słuchając go Robert zadrżał cały. . . Dziwne uczucie niewysłowionej rozkoszy przejęło go i odebrało mu mowę...

— Czyż to prawda? powtórzyła Ada... I w tejże chwili, jak gdyby postrzegła, iż się zapomniała — z lekka rękę usunęła, spuściła oczy... zamilkła jakby zawstydzona sama przed sobą.

— Ojciec mi żartem coś o tem raz wspomniał — rzekł Robert. Myśl to tak na wiatr rzucona, a dla mnie, choć kocham nasze Żabłiszki, pustoby tam było — i nieznosnie...

A! nie — nie — ja tu zostanę...

— Wyperswadujże to pan ojcu — już z powagą i chłodem mówiła cicho pani domu. Może w tem jest trochę egoizmu, bo my tu pana wszyscy kochamy — lecz, zdaje mi się, że... lepiejby było, gdybyś pan tu został.

Pułkownik mi napomknął o jakichś dalszych projektach — dodała z uśmiechem, odzyskując panowanie nad sobą — chcą pana ożenić! spętać tak młodo! Nie czynźże tej niedorzeczności. Buntuję pana przeciwko ojcu — to niegodziwie -- prawda? - - ale ja pannę dobrze życzę — wierz mi...

Nim zmieszany tą drugą przestrogą miał czas na nią odpowiedzieć Robert, Ada już z nim i z twarzą uspokojoną przeszła do głównego salonu, zagadując o czem innem.

Pierwsze wejście, które ją w progu spotkało, było... panny Hortensyi. Wpiło się ono w Adę, jakby dobyć z niej chciano podejrzaną tajemnicę. Roberta wzrok spotkał oczy ojca niespokojne. Gospodyni domu uśmiechała się tak obojętna, tak chłodna, jak gdyby tylko co nie popełniła — tego co sama sobie w du-

chu, jako zapomnienie się kompromitujące, wyrzucała srodze. Przecież czuła, że gdyby wróciła znowu ta chwila i to uczucie, które jej towarzyszyło, byłaby znowu... postąpiła tak samo — byłaby powiedziała też słowa...

Co się działo z pocziwym, prostodusznym Robertem — trudno opisać... Czczył on tę idealną niewia-  
stę, ale mu na myśl nie przyszło nigdy, ażeby on dla niej był i mógł być czem innem, niż pokornym uczniem i sługą. Podnieść ku niej oczu nie śmiał...

Po raz pierwszy dotknięcie jej ręki, dźwięk poruszonego głosu, wyrazy, któremi się odezwała do niego — wprowdziły go w jakiś szal, który sobie wyrzucił jako zuchwalstwo — a... jednak się czuł tą chwilą przelotną jakby zbliżonym, jakby podniesionym ku niej. Z głową, w której myśli się pomieszały, wirowały, — z sercem bijącym, szczęśliwy jak nigdy w życiu nie był, wsunął się za nią do salonu.

W duchu powtarzał sobie:

— To nie może być! to był sen! a! nie — nie godzi się nawet marzyć o tem...“ Ktoby był zajrzał w duszę kobiety, ujrzałby w niej także, dziwny natłok naj-  
sprzecznieszych zgryzot, radości, sromu i poruszenia... Wstydziła się sama siebie i oburzała na ten wstyd niepotrzebny. „Nic się przecie nie stało... Uważam go jak dziecko... mówiłam z powagą... Serce mi biło — bom na ślepego ojca się gniewała trochę!... Nic więcej...”

Po obiedzie rozmowa stała się ogólniejsza, a w godzinę potem obaj Jazygowie pożegnali panią domu...

Ada zostawszy sama z Hortensyą, bo Sensytywa natychmiast uciekła do swojego pokoiku: poczęła się przechadzać po salonie.

Kuzynka była w swym humorze najmocniej szczy-  
piącym, podrażniona i rozmarzona... Spoglądała na Ade, nśmiechając się szydersko...



— Wiesz, co mi major mówił? odezwała się — jesteśmy zagrożeni podwójną klęską. Możemy stracić tego przystojnego chłopca, na którego choć popatrzeć jest miło, i zyskać majora w sąsiedztwo, który — bądź co bądź, nie wiem jak walczył pod Lipskiem i Budziszynem — ale nudny jest i śmieszny.

Przygotowana nieco do podobnej zaczepki, Ada z zimną krwią odwróciła się do Hortensyi.

— Doprawdy? spytała...

— Sam major mi o tem mówił.. dodała żywo złośliwie śmiejąc się Hortensya. Podobno by chciał syna ożenić. Nie można dosyć zawczasu zabezpieczyć się, by ród panów Jazygów nie wygasł... Tu u nas — nie ma dla niego partyi, chce go więc wyprawić na Litwę... aby szukał sobie towarzyszek życia, znającej się na urządzaniu wędlin i robieniu serów...

— Major jest człowiek rozsądny, i nie tak mi się wydał nudnym jak tobie — odpowiedziała Ada... Dla nas nie byłby on ciężarem, bo to towarzystwo dla pułkownika głównie, a radabym żeby mój Brandys miał starego towarzysza broni do gawędki...

— Co? i Robertaby ci nie żał było?... załamując ręce krzyknęła Hortensya: pięknego Roberta! Przyznaj się...

— Owszem, przyznaję ci się chętnie, żałby mi go było, szczególnie gdyby go ojciec ożenił po swojemu... to jest spętał i uczynił pospolitym hreczko-siejem.

— A czemuż on jest dzisiaj? zapytała Hortensya.

— Dzisiaj — jest jeszcze może niczem, ale to pączek, z którego się wcale ładny kwiat rozwinąć może!

— Co za poetyczne porównanie! Natchnione — mówiła śmiejąc się panna, — jeszcze jak żyję nie słyszałam, aby kto dwudziestokilkoletniego mężczyznę porównywał do pączka!..

Ada rannionami ruszyła...

— Ja ci się przyznam. poczęła spojrzawszy na nią Hortensya—że mnie nawet żal będzie Roberta. Wśród naszej pustyni—był to jakiś resurs... Zbolale oczy patrzeniem na Musiatowskich, Rubaczków i Obłęckich, mogły spocząć przynajmniej na kształtnej figurze młodego parobczaka. Bo—dodała—juściż to nic nie jest dotąd więcej, ten twój pączek—tylko rumiany i zdrowy parobek..

Gdy oczy podniosła dokończywszy tego frazesu panna Hortensya — postrzegła, że Ada wolnym posuwając się krokiem, była już w drugim pokoju. i wcale jej słuchać się nie zdawała... Był to rodzaj wzgardy — który najmocniej gniewał i oburzał Hortensyę; nie mogła tego darować kuzynce, że zbywając ją milczeniem, gniewać się nawet, ani z nią sprzeczać nie chciała.. Wołałaby była, najostrejsze wyrazy nad tę pogardliwą obojętność i milczenie.

Ile razy w ten sposób się skończyła ich rozmowa. a kończyła się bardzo często podobnie, panna Hortensya biegła do swojego pokoju. poprzysiegając zemstę i długo potem nie mogąc się uspokoić...

Drzwi się zamknęły za Adą wchodzącą do swojego mieszkania. a panna Hortensya długo na nich wzrok rozogniony zatrzymawszy—z usty zaciętemi... wstała i wróciła drżąc z tłumionego gniewu—do siebie.

Przez całą drogę do Zahajów, major fajkę palił i milczał. Parę razy Robert mu wskazał na polach rozmaite fenomena gospodarskie, zwracając na nie uwagę; stary Jazyga jakoś się niemi nie zajmował. zamruczał coś tylko i tak dojechali do dworku.

Tu zrzucając frak i białą chustkę, dwie rzeczy, któremi się brzydził—Jazyga odetchnął szczęśliwszy, siadł w oknie, które wychodziło na lichy ogródek, złożony z bzów, drzewek wiśniowych, agrestów, porzeczek i innych krzewów. i zdawał się teraz dopiero być w swoim żywiole...

— Gadaj sobie co chcesz, odezwał się do syna, nie ma to jak nasze swobodne, proste szlacheckie życie bez fraka, białych krawatów, woskowanych posadzek, galonowanych lokajów i tego sztucznego przyrządu, który mi zawsze teatralnie przypomina. Mnie staremu już w tych kajdanach salonowych wytrwać trudno...

Robert pocałował w ramię ojca.

— Jakże mi przykro, że odwiedziny u mnie, kochanego ojca zmusiły do tego... występowania w Ruszkowie, z krawatem białym...

— Ale to nie ty jesteś tego przyczyną, tylko ten poczciwy, a dla mnie niezrozumiały pułkownik! Jak on może wytrwać w tem życiu! nie pojmuję. Od rana *tiré à quatre epingles*, zawsze na rozkazy... zmuszony być gotowym — chwili spokoju.. najmniejszej swobody...

— A—jakże było w wojsku. kochany ojczy? spytał Robert.

— Ba! w wojsku! uśmiechnął się stary—to co innego. tam był cel.. a może, może też że się było młodszym. i nie tyle dyscyplina wojskowa ciążyła.

— Może też i mnie dla tego wcale nie wydaje się przykrem bywanie w Ruszkowie.

Na tę odpowiedź, major nie nie rzekłszy. wyjrzał oknem tylko i zadumał się. Unikał widocznie i rozmowy z synem o tem, i drażnienia go sprzeciwianiem się.

Było z razu zapowiedziano, że major ma zabić dni kilka; przeciągnęło się jednak więcej tygodnia. Pułkownik zaprosił na słomki, czy na głuszce; Zarznicki, który miał sobie za obowiązek też ufetować starego żołnierza, zaprosił na obiadek kawalerski. Niepodobieństwem odmówić było, zwłaszcza gdy za warunek położył, że wszyscy w surdutach być mają. Zaprosił dla towarzystwa kilku sąsiadów, między innemi Posepalskiego, a ten podpiwszy nieco, wyścigał majora i wymógł, że też jego ubogą chatą nie wzgardzi. Trzeba więc było jechać do Posepalskich, poznać jego żonę, synka i dwie córki. Krasne panny wychowane w domu, wesołe, naiwne... zresztą dla Roberta nie będące niebezpiecznemi. Postrzegł to zaraz ojciec, że sobie syn na towarzystwie Ruszkowskiem smak popsuł, i do tego tonu wiejsko-szlacheckiego nastrój się nie mógł. Rozmawiał wesoło i żartował z panienkami, lecz widać było, że przy całej jego dobroci — do rozmówienia się w tem towarzystwie przyjść nie mógł.

Tu go troszynę przesładowano Ruszkowem, panną Karoliną — z czego Robert śmiał się tylko...

Idąc w ślady za Zarznickim i Posepalskim, a nie chcąc gorszym być od nich, pan Dorega trzeci sąsiad, gwałtem usiłował majora pociągnąć do siebie, ale dzień wyjazdu był naznaczony — z największym trudem przyszło się wytłómaczyć i wyprosić... Dorega się niemal pogniewał, lecz major jechać postanowił, i czuł się temi przyjęciami serdecznemi znudzony. Nawykły do samotności, do milczenia, do książek i przechadzek z myślami, męczył się towarzystwem hałaśliwym, choć sympatycznym zresztą.

Na ostatku trzeba było pułkownika pożegnać. Major miał w myśli tylko wpaść i nie dając się zacią-

gnąć do pałacu, niećkać—ale—był na obiad proszony, nie wypadało więc tak zniknąć, nie dawszy znaku życia... Major czuł to dobrze... Jakoż pułkownik na chwilę nie wątpił, iż pójdą się pożegnać. i major przyznał, że należało to uczynić.

Godzina była między obiadem i herbatą — zdało mu się, że nie bawiąc długo wymknie się. Przybywszy na pokoje, gdzie zastał pannę Adę i Hortensyę, Jazyga chciał uchodzić,—gdy go niemal gwałtem piękną gospodyni zatrzymała na herbatę. Księżyc świecił. w domu przecie nic tak pilnego nie było do roboty... Majorowi język się splątał. nikt mu nie pomagał, milczenie wzięto za przyzwolenie — i mimo woli pozostał.

Znowu gospodyni ze szczególnemi dla starego wojskowego była względami. mówiła mu o tych czasach, bitwach, wypadkach, których on był świadkiem. wśród których spędził najlepszą część swojego męskiego wieku — potrafiła go tem ożywić, wyciągnąć na opowiadania, i razem okazała taką zadziwiającą znajomość historyi, najdrobniejszych szczegółów. charakterów. iż major powtóre już zdumieć się musiał — zkaż ona to wie?

Jakiś cień poważnego smutku leżał tego dnia na spokojnem zawsze obliczu gospodyni — odzywała się mało, słuchała z zajęciem, umiejętnie tylko poddawała majorowi przedmioty do rozmów i potrafiła go tak rozruszać. że trochę o swych nprzedzeniach zapominał.

Herbatę podano na werandzie, aby mężczyźni cygara palić mogli. wieczór był prześliczny. z parku zawiewały wonie wiosenne, powietrze przejęte było wyziewami zmieszanemi kwiatów, drzew. trawy, wód parujących... ziemi dyszącej ciepłem... Od wsi załatywały zmieszane gwary tysięcznej pieśni życia... ze śmiechów, świergotania, szmerów, okrzyków i gwarów złożonej... Po nad tem wszystkim biały ogromny księżyc podnosił się z twarzą swą

zimną i tajemniczą, niby stróż podglądający nowe sprawowanie się ziemi. Wszystko to razem składało się na fantastyczny obraz — który widziany sto razy, zawsze porusza i budzi...

Gdy się herbata kończyła, towarzystwo przy niej zebrane, które w początku nie było spójne — i nie umiało się jakoś połączyć, spoglądając na siebie nieufnie—uległo nie wiem jakiemu dobremu wpływowi gospodyni księżycy czy humoru majora, i bawiło się jakby jedna zgodna rodzina...

Obłęcki miał odwagę przemówić coś do panny Karoliny, która—obejrzawszy się na Adę—ośmieliła mu się odpowiedzieć. Rubaczek próbował rozmawiać z Musiatowskim, panna Hortensya zaczęła pułkownika. Robert z za krzesła ojca wpatrywał się w Adę, a ta cała była w opowiadaniu majora.

Najdziwniejszy był skutek tej chwili przelotnej na pannie Hortensyi, która na krótko wprowadzie, rzekła się złośliwości i mówiła o wspomnieniach młodości, lepszych czasów.

Gdy przyszło się rozstawać, a major wstał i ruszyli się wszyscy, żal było każemu, iż wieczór ten się kończył... Ada prosiła majora grzecznie, by odwiedzając te strony, nie zapominał o Ruszkowie. Na folwarku u rządcy—pułkownika—czekała jeszcze Jazygę butelka strzemienna starego węgrzyna, którą sciskając się i popłakując wypito do lagru... powtarzając przysłowie stare, że lagier zębów nie wybija... Zegnano się stokrotnie, po polsku, w pokoju, na progu, we drzwiach, w sieni, w ganku, na wschodkach, u bryczki, na bryczce... i potem jeszcze rękami i czapkami.

Myliłby się jednak ktoby wniósł z tego, że stary major Jazyga, dał się rozczulić i zmienił swe przekonania. Stary coraz mniej mówił wprawdzie, z synem już nawet wcale o Ruszkowie rozmowy nie wszczynał — lecz w głębi duszy z czem tu przybył, z tem odjeżdżał, utwierdziwszy się tylko w swem

zdaniu, że Roberta ztąd wyciągnąć potrzeba. Nadzwyczaj nprzejme przyjęcie mądrej panny (jak ją nazywał) napełniało go trwogą. Zarazem wyrachował, że na syna dorosłego działać władzą ojcowską, rozkazem, byłoby niedorzecznością. Postanowił zrećcznie wyciągnąć ztąd Roberta, a choć mu się pobyt w Zahajach wcale nie usmiechał — trwał w myśli wypuszczenia Żabliszek, a wyniesienia się samemu na dzierżawę...

Było to tajemnicą wszystko... Robert nie wiedział o niczem, mógł nawet sądzić, iż ojciec myśl tę zarzucił, bo jej więcej już nie podniósł. Tak samo się i półkownikowi zdawało.

Gdy przyszło do rozstania się z ojcem, Robert, który do niego był serdecznie, po dzieciennemu przywiązany — tak uczuł, że mu jego dworek opustoszeje, tak to dał widzieć, że tem majora rozczulił... W końcu, nie mogąc się tak pożegnać z nim — odprowadził do blizkiego miasteczka jeszcze... a i tu obu im trudno się było z sobą rozłączyć. Stary miał na oczach łzy... zdawało mu się teraz, że chcąc synowi dać swobodę, chybił, siebie i jego skazując na tęsknoty i trwogi... Tyle ich mil rozdzielało! Listy są tak mało mówiące! Życie tak krótkie—chwile tak niepowrotne... Jazyga żałował, że przy takim pocziwem dziecku nie osiadł—ot tak, jak gracyalista... oddając mu wszystko...

Gdy nareszcie przyszło się rozjechać — major nie bez myśli, przypomniał Robertowi:

— Słuchajże no — na Ś-ty Piotr... bądź co bądź, będę się ciebie spodziewał. Choć to dla gospodarzy bardzo gorący czas, rób sobie co chcesz, choćby ekonom miał co zgnoić, zaniedbać, a bodaj skrasć, wybierz się tak, abyś u mnie — a prawdę powiedziawszy, u siebie w Żabliszkach dłużej zabawił. Proszę cię... Zateśkuię się po tobie... Przyjedź na dłużej.



Uściskali się raz, drugi, Robert jeszcze go raz w rękę, ojciec jeszcze raz w głowę pocałował. Konie ruszyły. Młody Jazyga pod wrażeniem smutnem wrócił do dworku, gdzie mu wszystko, aż do kupki rozsypanego na stole tytnin — ojca przypominało...

Na tę tęsknotę innej rady nie było — sięść na koni i w pole... Tak też uczynił.

Major tymczasem chmurny, zadumany, z Szymkiem i Iwasiem powracał wypasionemi dobrze przez te dni spoczynku koniami, do domu... Przez całą drogę. Szymek nie mógł się temu wydziwić. Major, który lubił komenderować: — A chłasnij deresza.. a nie zrywaj dyszlowych i t. p.. — nie patrzył na konie, nie odezwał się ani razu. Szymek drzemał. Iwas spał, konie znowu z klusa na trucht, z truchta na stępie przechodziły bezkarnie, ani bąknął Jazyga. Zaciekawiony tem Szymek podglądał, sądząc, że zmęczony spi stary, a ile razy się obejrzał, znajdował oczy majora przymrużone nieco, nieruchomie wlepione w dal — patrzące gdzieś... jakby nic nie widziały..

— Musi-ć chyba nie zdrów, skonkludował Szymek. Tak dociągali do Żabliszek.

Folwark to był w Grodzieńskim, a choć w tej stronie są i dobre majątki, Żabliszki do bardzo urodzajnych zaliczyć się nie mogły... Piasek i glina przemagały. Rozległość majątku była znaczna, lasy piękne i niezniszczone, a że i ojciec majora pilnym był gospodarzem, i on sam z żołnierską regularnością gospodarzył, Żabliszki poprawiały się co rok i stawały coraz cenniejsze. Pomnażano inwentarz, rolę zasilano.. kopano rowy, zalewano łąki.. a w sąsiedztwie major nchodził za bardzo majątnego człowieka. Był nim w istocie, ale na przekór innym, gdy drudzy się z zamożnością chwalili — on się z nią tał. Człowiek był dobry, przyjacielski, czynny wedle możliwości: kochając jednak nadewszystko syna i pracując dla niego skrzętny był do zbytku nie-

mał—chcąc mu jak najwięcej zostawić. Tań się dla tego z kapitałami, aby ich nie pożyczać... Roberto wi chciał koniecznie, oprócz doskonale zagospodarowanej wioski, zabudowań takich, by pół wieku poprawek nie potrzebowały. zostawić jeszcze spory kapitał. Szło mu i o to, aby się chłopiec żeniąc, na grosz nie potrzebował oglądać.

Dla siebie poczciwy major nie potrzebował wiele, żył niezmiernie oszczędnie, skąpo prawie; wszystkie jego—myśli — prace... miały cel jeden — dziecko jedyne, ukochane... Co się tylko robiło w Żabłiszkach, było dla Roberta. Można sobie wystawić, co to serce ojcowskie kosztować musiało rozstanie z dziećciem, wysłanie go daleko od siebie. Jazga raz wyrozumowawszy, że to jest potrzebne, aby młodzieńca, dając mu wolę, wypróbować, jak jej użyje — spełnił ofiarę z mężstwem. Teraz — przekonywał się—niestety—że Robert, nie będąc nic winien, idąc za najszlachetniejszymi popędami, wpadł w położenie, z którego ratować go należało... Najmocniej więc postanowił sobie, Żabłiszki mu wypuścić, a samemu siąść już na Zahajach.. Do tej myśli dodatkowo łączyły się inne...

Sąsiedztwo było śliczne, major postanowił trochę bliżej mu się przypatrzeć i dopomódz losowi, wybierając sam dla syna przyszłą żonę, a sztucznie potem, nieznacznie zbliżając go ku niej.

Po żołniersku trochę — chciał komenderować zawsze, a choć w komendzie miłość poczciwa była hasłem — nie czuł major, że życie władać sobą nie daje, że młodość musi mieć swobodę serca, woli i sympatyj, dla obcych niezrozumiałej... Zdało mu się, że nikt dla Roberta szczęścia lepszego nie wymyśli niż on, lepszej żony nie znajdzie, doli pomyślniejszej nie zgotuje...

Z temi stałemi postanowieniami zbliżył się do swych Żabłiszek major, a że je kochał tak jak Roberta prawie, gdy z dala ukazał się dwór na pagór-

ku, czyściuchny i ładny. brzozami i świerkami otoczony. zabudowania murowane i okazalsze niemal od niego. wioska ze swemi krzyżami, kamieniami, chatkami i ogrodami; drewniany kościółek czarny... rzeczulka w dolinie. łąki zielone i krajobraz ów nadniemeński. tęskny a śliczny jak młode dziewczę—łzy mu się w oczach zakręciły.

Mimowolnie krzyżykiem go świętym przeżegnał. Było to nad wieczór...

Po wczorajszym deszczu. który obmył drzewa, odświeżył łąki. orzeźwil pola. zieleniało wszystko dziwną barwą. złociło się. świeciło—jakby na przybycie gospodarza. Rzeczulka wśród kamieni przerzynała się z jakimś niezwykłym. dziecinnym pośpiechem, figlując, połyskując. szumiąc, jak gdyby w lecie nie wysychała; niebo było lazurowe z białemi chmurkami. pozłacane gdzieniegdzie... z dala sine bory nawet mgłą się przysłoniły, która im miękką barwę nadawała...

Krajobraz był wdzięczny... serce się uradowało majorowi. Jakby dla ożywienia go wszystko w tej godzinie wesoło ku wiosce wracało. pastuszkowie kłaniali mu się uśmiechając. gospodarze podnosili czapki, a zniżali głowy, bydelko podskakiwało, stada owiec rozbrykane poprzedzały go na drodze. konie w białych ran-tuchach stawały aby go przywitać. Szymek i Iwaś mrugali z kozła do znajomych; konie nawet, które w ciągu podróży miały skłonność do wolnego kroku. teraz go aż do zbytku przyspieszały. rażno prychając.

I majorowi jakoś w duszy zrobiło się weselej powiedział sobie: - Przy pomocy bożej—jakoś to będzie!

Co się niezmiernie rzadko wydarza. po powrocie z długiej podróży. nie nastąpiło się nic, za co by połajać należało. pogniewać się było można. Przykładny porządek panował wszędzie. Ogrodzenia około łąk. które wyjeżdżając kazał poprawić. stały

odnowione, nigdzie była w szkodzie. a stary, odświeżony dworek tak mu się już z dala uśmiechał!

W tym domku on przeżył i najśłodsze i najboleśniejsze życia chwile, tu on zdobył z trudem, ukochaną przywiózł żonę, tu mu się ten jednak urodził, tu spędził dzieciństwo — tu umarła mu jego jedyna — i ztąd ją na cmentarz pod kościółek wyniesiono... Wszystkie sceny te przebiegły przed jego oczyma. nim się znalazł w dziedzińcu, nim stanął przed gankiem. gdzie nań wyprostowany po woj-skowemu czekał ekonom pau Burakowski, niegdyś towarzysz Roberta zabaw dziecięcych. syn starego ekonoma...

— No—co dobrego u was, panie Erneście, spytał wesoło major.

— Dzięki Bogu. wszystko w porządku. odparł w rękę go jak ojca całując młody chłopak. Nowego tak dalece nie ma nic. Bułana miała źrebię niczego. klaczka z łysiną. Siauokos na błocie zaczęty... Zboże wygląda dobrze... owsy tylko słabe na pagórkach...

Tak mówiąc weszli do dworku. Domysli się każdy, że u dawnego wojskowego i dom po wojskowemu był utrzymany. nadzwyczaj czysto i w porządku, którego pilnował sam właściciel. Dwór niewielki był, ale ta holenderska czystość dodawała mu wdzięku... W sieniach trochę myśliwskich wisiało przyborów, salonik ze staroświecka umeblowany. był jasny i wesoły. Stał w nim jeszcze fortepianu nieboszczki. w którym popekały struny, poźółkły klawisze, nikt go nie otwierał, ale tkuąc go i ruszyć z miejsca nie dawał major. Na głównej ścianie. tytułem okryty widać było portret kobiety pięknej bardzo, sentymentalnie wspartej na rękę, zamyślanej... Obok niej złamana kolumna. bluszczem okryta. przed nią rozłożona książka i bukiet na niej. Malowanie to nosiło wybitnie cechę swojego czasu. choćby go wysoko podniesione na grzebieniu włosy.

suknia z rękawkami krótkimi a buchastemi, i krótkim stanem nie dawały poznać na pierwsze wejrzenie. Sliczna twarz napiętnowana była smutkiem... Drzwi szklane z salonu, prawidłowo wychodziły na ogród cienisty, w którym tuż stała lipa stara, okrągłą otoczona ławą. W dal ciągnęły się uliczki proste... i kwatery bez pretensyi, tak jak to dawniej bywało. Pokój majora ubrany był pamiątkami wojskowemi i bronią... Kilka litografij przypominało towarzyszków broni i dowódców... W ścisłym porządku stały tu fajki, kije, wisiały czapki i kapelusze... U kominka, który major lubił, na wszelki wypadek leżał zapas drewek olchowych. Każda rzecz nie-  
tknięta czekała na jego przybycie... i major ucie-  
szył się znajdując na swem miejscu przedmioty. do  
których nawykł: smakowało mu nawet powietrze  
dworku, właściwy mu zapach... bo każdy dom ma  
woń swoją. którą się czuje najlepiej gdy się do niej  
powraca... W sypialnym pokoju zapach tytoniu i dre-  
wek z koszyka mieszał się razem... Major czuł, że  
tu mu było najmilej, najlepiej. Przyszło na myśl, że  
dla Roberta trzeba będzie Żabliszki porzucić—west-  
chnął—dla syna i ta ofiara nie była trudna.

Jazyga, któremu tu tak było dobrze, jak u Bo-  
ga za piecem—sam się tak wyrażał—nie wiele do-  
tąd z sąsiedztwem obcował. Z początku ludzie zna-  
jąc jego zamożność, garnęli się do niego, sądząc,  
że czasem z niej korzystać będą mogli—gdy się po-  
tem okazało, iż był nadspodzianie nieużyty, trochę  
się usunęli. Oddalenie Roberta z okolicy wzięto też  
jako obrazę... Tłómaczono to sobie, że w sąsiedztwie  
major dla syna nie widział chyba partyi — i umyśl-  
nie go w świat wyprawił. Stosunki ze współobywa-  
telami nie będąc złe, ściśle bardzo nie były. Jazyga  
domator, najlepiej lubił siedzieć u siebie w Żablisz-  
kach. Spotykano się w kosciele, na jarmarkach.  
rzadko kto go odwiedzał, rzadziej on u kogo by-  
wał..

Teraz to niewygodne było dla majora. Chciał dla syna wybór uczynić, a nie wiedział jak do niego przystąpić. Nagle tak zmienić tryb i obyczaj życia. było i niewłaściwie i różnie by tłumaczono. Co tu począć?

W najpoufalszych stosunkach był dotąd Jazyga z panem Olbrachtem Erdziwiłłem. czystej krwi Litwinem.—starym kawalerem, jowialistą który nietylko Żabłiszki. ale całe sąsiedztwo swym humorem ożywiał. Jeden z profesorów grodzieńskiego gimnazjum, który czasem w tę okolicę w czasie wakacyj zaglądał, zwał Erdziwiłła synem Epikura. Trzeba to było brać w najlepszem znaczeniu.

Nikt nigdy pana sędziego granicznego, był bowiem raz Erdziwiłł sędzią granicznym i tytuł mu ten pozostał na zawsze—nikt go sumiennie nie widział. Wszystko cokolwiek go spotkało, przyjmował jeśli nie namiętnie, to cołem tak pogodnie, że się o niego najgroźniejsze rozbijały fale. Erdziwiłł miał dziesięć chat, wiościnę biedną, dworek pożał się Boże, dochód szczupły. starczyło mu to; gdy zabrakło czego, obchodził się nie skarżąc, często śmiejąc się z niedostatku. W gościnie bawić lubił. bo ludzi potrzebował — ale od nikogo nie nigdy na zawinięcie palca nie przyjął.

— Widzisz acindziej, bratku (takie było jego przyśłówie) — gdybym od wasci prezent wziął, musiałbym cię odprezentować. a nie mam czem.. Dajże ty mi pokój. Jeździł Erdziwiłł kałamaszką, znanymi dwoma końmi staremi, z których się sam wyśmiewał, bo były kaleki.. Mały, trochę otyły, ale ruchawy i zręczny, sędzia miał lat pięćdziesiąt. łysinę, duże oczy niebieskie, siedzące na wierzchu, i wąs zawieszisty, z którym się pieścić lubił. Dykteryjek, anegdota, starych dowcipów, pogadanek zapasy miał nieprzebrane. Pomawiano go, że niekiedy kłamał, on sam przyznawał się tylko do tego, że bajeczki układał. Nie ma w tem nic złego.. Koncepta jego, choć dowcipne i ostre, były tego rodzaju, że nikomu nie szkodziły, honoru niczy-

jego nie tykały... Żartował ze słabosci ludzkich — nie sięgał w stosunki, których nie godziło się odsłaniać. lubiono go powszechnie. Był to gość pożądany wszędzie i witany radośnie. Stary kawaler, choć mu się gęsto siwy włos przerzynał w pozostałych na czuprynie i wąsach, dla kobiet był galant, nadskakujący i wielbiciel wdzięków tak zapalczywy, że je często widział tam, gdzie ich nie było.

W sąsiedztwie, nie zważając na to, jak kto z kim był, Erdziwiłl bywał wszędzie, a częściej się do pojednania zwasnionych przyłożył, niż do zajęcia niechęci. Bywał też i u majora, którego wielkim zwał się zawsze — wielbicielem. Jazyga go lubił, przyjmował i nieraz w najposępniejszym będąc humorze, winien mu był, że się rozchmurzył i poweselał. Jedyńy to był, można powiedzieć, przyjaciel szczerzy Jazygi. Wioszcyna Erdziwiłła leżała o milę od Żabliszek, — spotykali się więc często, choć sędziego w domu zastać było wielkiem szczęściem. Jeśli się to trafiło, przyjmował u siebie sercem całem, bez występu, najczęściej nalewkami, wędliną, serem, masłem — ale z prostotą, z gościnnością ujmującą.

Sędzia, choć na pozór małego znaczenia człeczek, miał wpływ większy niż się zdawało. Swatał, bratał, zbliżał, i w wielu razach, gdy nikt nie umiał ciężkiej sprawy załatwić, on — żartując i baraszkując — potrafił.

W drodze już major myśląc o tem jak się wziąć do trudnego dzieła, przypomniał Erdziwiłła. Nigdy on nikogo nie zdradził, można z nim było mówić otwarcie...

Drugiego dnia odpocząwszy w domu, na trzeci, choć wiosny ciepły deszczyk przekrapiał, pojechał Jazyga do Swantyszek. Tak się zwała wioseczka panna Erdziwiłła. Może temu deszczykowi, co go od podróży nie wstrzymał, winien był, że sędziego w domu zastał...



Dworek był o dwóch słupkach, mały, dość chędogi, z izdebką gościnną na górze; cały w kasztanach, jak gniazdo wśród gałęzi. Posadzone niegdyś zbyt blisko domu, rozrosły się ścisnęły go tak, że się na nim prawie pokładły. Ciemno od nich było we wnętrzu, radzono je poćcinać lub poprzycinać, ale Erdziwiłł nie chciał pozwolić.

— Albo to im jak mnie życie nie miłe! Ani zetnę, ani przytnę... Po mnie kto tu będzie, niech sobie robi co chce—a póki mnie, póty moim starym przyjaciołom nie się nie stanie...

Gdy bryczka stanęła przed kasztanami, sędzia w ganku stał bez surduta... Zobaczywszy majora, ręce szeroko otworzył...

— A witajże! Kiedyż z powrotem?... Miły gościu!...

I tak objętego uściskiem wprowadził do ciemnej izby bawialnej, w której pierwszym przedmiotem, jaki się na oko nawijał, była wisząca na ścianie hiszpańska gitara. Ściany ubrane były w litografię francuskie, przedstawiającego piękne kobiety, trochę dawnej daty... wykrygowane, uśmiechnięte... w różnych strojach, właściwych narodowościom. Pod gitarą stała sofa wygodna, przed nią stół duży... Na kominie zegar stary z kolumnkami alabastrowymi, miał na wierzchu amorka strzelającego z łuku... Biednemu amorkowi jedno skrzydło się dawno odłamało, i łuk pozostał bez strzały, Nie było więc niebezpieczeństwa, ażeby kogo mógł zranić. Zegarek cichym szeptem dowodził, że pełnił swój obowiązek. Drzwi do dalszego mieszkania zamknięte nie pozwalały ciekawemu oku sięgnąć dalej..

Erdziwiłł posadził gościa na kanapie, sam naciągając letni przyodziewek.

— Kawy czy herbaty? spytał.

— Co chcesz i co wolisz — jam stary żołnierz. co na placu to nieprzyjaciół — odparł major.

Sędzia klasnął w ręce, i w tejże chwili wbiegła młoda, świeżo przystrojona służąca, z figlarnymi oczkami. twarzą zarumienioną i uśmiechniętą.

— Prędziusieńko kawy — a dobrej! zawołał sędzia... Spojrzawszy lękliwie na majora. znikła piękna służąca.

W kącie stała szafeczka, którą sam gospodarz otworzył, i wyjął z niej sucharki i czarnawczyckie czy lidzkie obwarzanki. które postawił na stole razem ze starą blaszaną cukiernicą.

— Zapalże fajkę i rozgość się — rzekł do majora... Mnie do was tęskno było... Nlem razy jechał około osieroconych Żabliszek, pytałem:

— Jest pan?

— Nie ma...

— No, cóż słyszeć? syn zdrow — jak mu się powodzi?

— Doskonale.

— Nie ożenił się? spytał sędzia.

— Al! dzięki Bogu, nie — rzekł major. Przyznam ci się, że tak ex promptu i bez mojej wiadomości nie życzyłbym sobie ożenienia — choć — pono czas.

— I bardzo! zawołał Erdziwiłł, — wiesz przysłowie - bratku?

— Któżby go nie znał! ale przysłowia są często tylko świadectwem przesądów... odezwał się major. — Jednemu służy to, drugiemu co innego.

— A cóżby waszemu Robertowi służyć mogło — wcześniej czy późno? spytał sędzia...

Major ruszył ramionami, nie chciał się tak od razu wydać z myślą.

— Jakże wy sądzicie?

— A jużby czas — słowo daję, bratku. Późne ożenienia to często — tarde venientibus ossa. Nie

ożenił się człek za młodu, potem chwytą co z brzegu... aby sam nie został...

— Nie byłbym przeciwko temu...

— To go ożenimy! jak po maśle pójdzie — zawołał sędzia — a może już co napatrzył?

— Sądzę, że nie. nie kryłby się przedemną... Nie bardzo jest kochliwy...

— A! to źle! to źle! z miną niby zafrasowaną odparł gospodarz. Młody człowiek musi się wykochać porządnie nim się ożeni, jak mu się kochania zostanie dnużo... gotów się bałamucić post... a z tem — lichol!

Śmieli się oba...

— Cóż w sąsiedztwie słychać? wtrącił major.

— Jak mak siał. cichusieńko! począł Erdziwił. Tak przykładnej, spokojnej wiosny nie pamiętam. Zwykle w tej porze nowe życie wchodzi w ludzi. kochają się mocniej. kłócą zapalczywiej... handlnią gwałtowniej — tego roku ani się co ruszyło... Żaden majątkownik nie sprzedaje. córki nie wydaje i za łby się nie wodzą.

— Na przednówku — co za dziwo! odparł major.

— Ale bo głodu u nas nie ma — mówił sędzia — dostatek szlachecki wszędzie. tylko bratku. dawnej fantazyi zabrakło!... Ziewamy... Ja tu jeden wesół na całą okolicę; gdybym ich nie rozruszał. pospaliby się...

I szła tak rozmowa o tem i owem aż do przyniesienia kawy, którą piękna dziewczyna postawiwszy na stole, zbyt prędko uciekła. jakby się oczu obcych wstydziła... Przy kawie major westchnął.

— A co myślisz — sędzio? — rzekł — podałeś mi ideę niezgorszą! Trzebaby Roberta ożenić. Wypuszczę mu Żabłiszki... niech życie zaczyna: bylebym dla niego znalazł stosowną. stanem równą. miłą i dobrą dziewczynę... O posag mi nie chodzi...

— Jeżeli ci o posag nie idzie — podchwycił Erdziwił — taką mu wyszukamy. że — klękajcie narody! Zobaczysz — ale — gdy seryo tak myślisz...

— Mówię ci — seryo... dodał major...

— Milczmyż z tem — cyt! — chytro, mudo... inaczej się nie uda...

Erdziwił wasa pokręcił — i zamyslił się.

— Przyjedzie do mnie na Ś-ty Piotr... odpowiedział Jazyga; tymczasem gdyby się co upatrzyło... nie źleby by było...

— Czy chcesz sam wybierać i dopiero na upatrzonego syna puścić? rozśmiał się gospodarz... E? bratku? e?

Major schwytny na uczynku zarumienił się. A już ciż ja mu narzucać nie będę — ale — ale czworo oczu więcej widzi!

— Gdzie tam — bratku! nieprawda, jak żywo — odparł Erdziwił. Wierz mi. gdy idzie o żonę. tylko ten widzi co ją bierze...

— Ale miłość i fantazya ślepe są!

— Gdzie tam! Inaczej one patrzą — a no doskonale widzą to. czego my postrzedz nie możemy. Dodam ci jeszcze: syn twój niekochliwy, sam mówiłeś, jak się ożeni nie bardzo kochając — bieda będzie... Trzeba. żeby się okrutnie rozmiłował.

Jazyga zamilczał smutnie jakos.

— Więc cóż? rzekł — pusić go tak na los szczerzacia? a nuż...

— Myślisz. że gdy ty mu z chłodną krwią dobierzysz parę, to ci się lepiej uda. niż losowi i Panu Bogu? bratku?

Zadumał się major..

— Powiadam ci. narzucać mu nie będę. a parać się nie waham... To co innego...

— A no? rajmy! zawołał wesoło zacierając ręce siedzia..

— Ja myślę inaczej — powoli ozwał się Jazyga. Dawno sąsiadów nie odwiedzałem, trochę się ich zaniedbało, — do S go Piotra mam czas. objechałbym dawnych znajomych i... możeby co w oko wpadło.

— Myśl niezgorsza — rzekł sędzia — gotowem ci słuchać, aby było czworo oczu, jak chciałeś. Ale czy moje liczyć się mogą? bratku? he?

Major go uściskał...

— Dokądże pojedziemy? zapytał, znasz lepiej niż ja okolicę...

— Zaraz! stukając się w czoło, począł Erdziwił. A b Jove principium. Marszałek...

— Ale bał wysokie progi ..

Tyle po nich ludzi przeszło od czasu gdy marszałkuje. że się dużo starły... Dawniej był to majątny bardzo pan, a dziś, gdyby nie marszałkowstwo, które wierzycieli trzyma w przyzwoitem oddaleniu — kto wie co by było... Powiat go objadł okrutnie, i marszałkówny są dwie na wydaniu... Obie piękne, i wychowane jak nie można lepiej, po francuzku expedite, śpiewają. grają i malują. Sam na oczy moje widziałem takiego Achillesa w kasku. kredą. przez pannę Julię...

— Dałbyś mi pokój — to nie dla Roberta — zawołał major — pretensyi wiele, majątku nie... Ja żony i gospodyni potrzebuję nie artystki...

Rozśmiał się Erdziwił.

— Słowo ci daję. minąć marszałkówien nie mogłem...

— Cóż dalej?

— Dalej... Prezesówna jedna, solo, panna bogata, ojciec skąpy, matka dewotka. Wychowanie na pensyi... zdaje mi się, że u Wizytek w Wilnie... Więcej nie wiem.. Syn prezesa ntracyusz.. bo to zawsze ojcom skąpyim przypada..

— Notójmy prezesównę... ale — matka dewotka... rzekł major...

— To prawda, i ojciec — ciężki! Wiesz co? ja mówię, bratku, nie notujmy prezesówny. chcesz-li słuchać mej rady.

— Nie notujmy...

— Zatem. ciągnął Erdziwiłł. ze trzech panien. nie mamy jednej. Wszystko plewy..

Pomyślał nieco...

— Zaczniemy od drugiego końca — rzekł. Znasz Parniewiczów?

Major głową potrząsnął.

— Dzierżawą trzymają Hajdę... ludzie nie majątni, w dorobku. córek dwie. jedna dorosła... Cudo piękności! mówię ci, bratku... modlić się jak do obrazu... Zachwycająca... Oficer jeden w łeb sobie strzelił z miłości...

— A! dziękuję ci! żywo przerwał major. Taka piękność to największe nieszczęście — kogo uszczęśliwi, ten przez całe życie będzie musiał przed nią na kolanach dziękować... Nie chcę!

— Widzisz! bratku — jak to nam dwu trudno wyszukać — odezwał się sędzia — a ja ci ręczę. że Robert sam, gdybyśmy mu wolę dali. znalazłby sobie łatwiuteńko.. Słuchajże — a pauny Snrymowny nie chcesz?

Surym był blizkim sąsiadem Zabliszek i kilka razy o łąki miał z nim spory major...

— Zośka Snrymówna ładna dziewczyna, gospodyni doskonała... wesola. rumiana... i chłopcy się koło niej kręcą okrutnie, co dowodzi, że czegoś warta... Mówiono mi, że z Baranowiczem była zaręczona. ale się rozeszło z powodu ojca...

Major głową pokręcił. ani odtrącając. ani przyjmując...

— Chłopcy się kręcą! powtórzył parę razy... Nie chciałbym. aby Robert po drugich brał. co już inni zbrakowali... Zresztą z Snrymem jestem na baki...

— A! tobysmy połatali — rzekł Erdziwiłł: tylko mi na myśl przychodzi. że Zoska taka gospodyni. że podobno nad gospodarstwo nic nie zna i nic nie lubi.. Dobra to rzecz taka żona — ale Robertowi stanie na klucznicę — a jak nie będzie miał do kogo zagadać w domu?...

— No—dajmy pokój Surymównie—odezwał się major. W istocie — tak nam starym wybierać, ciężka sprawa....

Sędzia się złośliwie usmiechał i pocałował w ramię majora.

— Kochany majorze, bratku — odezwał się: mnie się widzi, sprowadź ty tu Roberta, puśćmy go między ludzi, niech sobie sam szuka... Będziemy mieli oko. a ojciec ma prawo wyrzec zawczesne veto... Jak my mu bogdanę wybierzemy, to się na nic nie zda.. Dla siebiebym może potrafił...

Jazyga nie odpowiadał, posmutniał jakoś.

— Bieda z dziećmi! westchnął.

— I dla tego ja wolałem ich nie mieć i nie żenie się, rzekł wesoło sędzia. Myślisz, że mnie nie kusiło! ale ba — bratku do dziś dnia! Wiesz, wdówka jest tu jedna... jabłuszko, śliczności... bezdzietna i ma pięć chat w posagu... Sama mi mówiła, że poszłaby za mnie... Przejrzałem się w zwierciadło—nie ma sposobu... Na łysinie mojej najmniejszy przydatek byłby widoczny... A pokusa tak mi się śmieje białymi zębami. Musiałem dać sobie słowo. że ją będę omijał..

Erdziwiłł potarł czuprynę i wasy. nalał sobie zimnej kawy i zapił sprawę. Major zbity z tropu, zadumał się i już nie wznowił rozmowy...

— Żart zartem. odezwał się wasy ocierając sędzia — choć się nam pierwsza registratura panien nie powiodła. ja wolnym czasem, skupiwszy ducha, pomyśle jeszcze... ty majorze ze swej strony upatruj... A mąż? bratku — może się co i znajdzie; ale ci powiadam, Robertowi byłoby daleko łatwiej wyszukać niż nam dwom... Na to młodości potrzeba!



Zaczynało w ocienionym kasztanami pokoju coraz być ciemniej, wstał major. aby pożegnać gospodarza. zapraszając go do siebie... Wyszli oba na ganek... i Jazyga do Żabliszek odjechał. przez całą drogę rozmyślając nad tem, jak wyjść z trudnego zadania.

Mała próbka na wspólny z sędzią zrobiona. okazała mu, jakie go tu miały spotkać zawikłane kwestye... Wszędzie było coś odstręczającego. a nic tak dalece nie ciągnęło. Major w wyborze dla syna musiał być niezmiernie ostrożny... Zostawić zaś wybór losowi i sercu lękał się. i za nic w świecie nie mógł pozwolić, ażeby Robert bałamucił się dłużej w Ruszkowie.

— Lepiej niech się żeni z kim chce... bodaj z najuboższą córką leśniczego, — niżby miał. uchowaj Boże, popaść w niewolę takiej damy, co by nim potem pomniał! Za nic w świecie. nie dozwolę na to!

Wzdrygnął się Jazyga na myśl samą.

— Ożeni się czy nie—przynajmniej go do Żabliszek przeniosę. i odetchnę lżej. gdy tu będzie...

Ze smutkiem więc do swojego dworku major. którego sciany mu co chwila przypominały. że go miał opuścić...

Do Ś-go Piotra kawał było czasu... a nuż Robert jeszcze się tam więcej zbliży. sponfali i zwiąże?? A przed Ś-ym Piotrem go wyciągnąć z domu sposobu nie było. więc niepokojąc się i gryząc, musiał major przeczekać. Nie wyrzekł się wszakże myśli rozpatrzenia w państwach. Próba na prędce zrobiona z Erdziwil-łem, ani wyczerpała zapasu panien w sąsiedztwie, ani mu się zdała przekonywającą. Należało się zbliżyć i przypatrzeć samemu. bo sąd zaoczny. niewiele wart. Major więc postanowił sobie. szukać zręczności. aby nieznacznie zbliżyć się do sąsiadów pewny, że pocztowa szlachta go nie odtrąci... I tak rozmyślając a układając uspokoił się trochę... Był też spokojny o to, że wybrana przez niego i Roberta panna. odmówi im nie

może, bo którażby mogła i chciała takiego chłopca odtrącić? Major kochając syna, nie przypuszczał nawet ażeby się znalazła na świecie kobieta, któraby innego nad niego przenieść mogła — a toćby chyba oczu nie miała! To nie może być! mówił w duchu, i zakończył: Z bożą pomocą, jakoś to będzie!

KONIEC TOMU PIERWSZEGO

Biblioteka Raczyńskich

JIK 1



JIK0001